

TYGODNIK ILLUSTROWANY



AKORD (Z wystawy T. Z. S. P. w Warszawie)

SAMUEL HIRSZENBERG

ZDZISŁAW DĘBICKI:

L W Ó W .

Z CYKLU: „DUSZE MIAST POLSKICH”.

Trzy są w Polsce współczesnej najważniejsze ogniska życia kulturalnego: Warszawa, Lwów i Kraków. Każde z nich posiada swoją fizyognomię własną, swoje tętno odrębne, swoją *duszę*, wyrzeźbioną przez wieki i zasilaną nieustannie nowymi rysami. Wszystkie razem tworzą jednak całość nierozdzielną, mocną, świadczącą o bogactwie wewnętrznego życia narodu, idącego w *jutro*, a pamiętającego na swoje *wczoraj*.

Lwów, stolica Galicji i główna siedziba władz administracyjnych rządowych i samorządnych, z konieczności pokryć się musiał patyną biurokratyzmu austriackiego, którego twarda skorupa narastała i uwarstwiała

ła się na nim stopniowo, przez cały okres porozbiorowy, aż do r. 1869.

Przeszedłszy ciężką epokę germanizacji, atakującej zaciekle polskość miasta, nadającej jego ulicom nazwy niemieckie, a co gorsza, kładącej jakiś dziwny, cesarsko-królewski stempel na umysłowości całych pokoleń—Lwów, od chwili nadania krajowi autonomii, zaczął szybko otrząsać z siebie naleciałości obce. Wątki, prowadzony na pasku przez centralizm wiedeński samorząd nie mógł wprawdzie dokonać cudu doraźnego odrodzenia kraju, ale zapewnił mu powolny, trwały postęp, którego owoce dziś, po latach czterdziestu, są już widoczne.

W procesie renesansu galicyjskiego, po spolszczeniu szkolnictwa, obejmującego coraz szersze kręgi życia, Lwów odegrał rolę pierwszorzędną.

Tu skupiły się z konieczności wszystkie najżywotniejsze interesy kraju. Tu myśl narodowa, obudzona z uspienia bujnym powiewem wichrów 1848 r., a przywalona następnie gruzami zbombardowanego miasta, wstała z popiołów, aby się rozwijać pod sterem Smolków i Szczepanowskich. Tu Sejm krajowy zastanawiał się nad potrzebami kraju, walczył z jego nędzą, goił jego rany. Tu od kopca Unii lubelskiej i od mogiły Kapuścińskiego i Wiśniowskiego szły

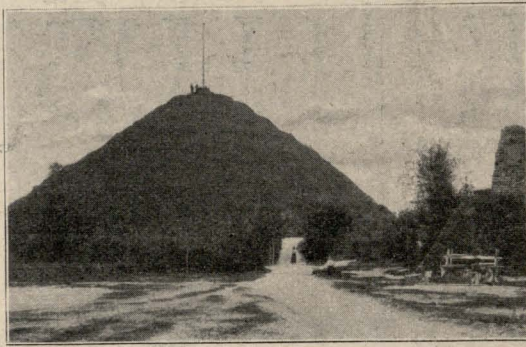
głosy, których nasłuchiwała młodzież, szukająca dróg nowych. Tu była kuźnica nowoczesnego ruchu demokratycznego, rzucającego rękawicę panom krakowskim. Tu budowała powoli swój gmach nauka polska, wracająca z tryumfem do uniwersytetu. Tu, w archiwum bernardyńskim, ś. p. Ksawery Liske otrząsał pył z aktów grodzkich i ziemskich, dobywając na światło dzienne przeszłość zapomnianą. Tu skrzypiały pióra w *Ossolineum*, wielkiej i bogatej księżnicy, przyciągającej ku sobie historyków i literatów z całej Polski. Tu stanęła pierwsza na ziemiach polskich politechnika typu nowoczesnego, wyraz przemysłowych dążeń narodu. Tu, obok gmachów publicznych takiej miary i doniosłości, jak Sejm, Bank krajowy, Galicyjska kasa oszczędności i Teatr miejski, powstały w różnych punktach miasta *pałace* z napisem *Szkoła ludowa*, gdzie tysiące dzieci polskich i rusińskich znalazły światło i opiekę. Tu wreszcie brzmi ciągle hasło *naprzód*, w przeciwstawieniu do Krakowa, zasypiającego spokojnie na sztandarach swojej chwały wiekowej.

Lata mijają... I miasto rośnie, rozwija się, nabiera cech europejskich, staje się współczesnym, dużym miastem.

Gdzie jest jego dusza? Jakie są swoiste cechy jego ruchliwego, wytężonego życia? Jakie rękojmie jego dalszego rozwoju?

Gdy w pałacu „Pod kawkami”, w biurach c. k. Namiestnictwa, pod komendą zasłużonych nadradców i radców kształci się liczny zastęp świeżo upieczonych *koncypiantów*, marzących o złotym kołnierzu starosty powiatowego, a kto wie, może nawet o szefostwie sekcji w ministerium, gdy takż sam zastęp *auskultantów* od wczesnego rana do zmierzchu zapracowuje się w sądach cywilnym i karnym, w prokuratury i w dyrekcji skarbu, gdy po ulicach snują się oficerowie *stacyonowanych* w mieście pułków z historyczną wyklówaczką w zębach i długim cygarem w ustach, dumni ze swoich gwiazdek *lieutenant'owskich*, gdy kawiarnia w godzinach popołudniowych brzęczy *par excellence* wiedeńskim szmerem, tak iż w pierwszej chwili mimowoli zadać sobie trzeba pytanie, zali to naprawdę nie Wiedeń? gdy pod wieczór pryncypalna ulica Karola Ludwika staje się linią spaceru dla gęstego, czarnego tłumu niewykwintnej publiczności, mówiącej w trzech czwartych po niemiecku—dusza Lwowa chowa się głęboko.

Niema jej w biurach, gdzie panuje, pomimo języka polskiego, paragraf i czarno-złoty duch austriacki, wypływający z mylnie pojętego lojalizmu, niema jej na ulicach, niema w kawiarniach. Dwie są tylko dziedziny, w których emanuje się ona bezpośrednio na zewnątrz — to nauka i polityka. Nawskroś polska i podniosła jest atmosfera obu wyższych zakładów naukowych, które stają się coraz poważniejszymi warsztatami pracy, obliczonej na jutro. Dookoła uniwersytetu i dookoła politechniki skupia się i wytwarza wyższe życie intelektualne. Wprawdzie warunki, w jakich studjuje przeważna część młodzieży galicyjskiej, nie są pomyślne i przeszkadzają niejednemu do oddania się pracy naukowej, to jednak zainteresowanie się nauką dla niej samej, a nietylko dla kariery, wi-



KOPIEC UNII WE LWOWIE.

domie i nieustannie wzrasta we Lwowie. Żywy ruch, jaki panuje w seminaryum historycznym prof. Askenazego, frekwencja wykładów prof. Twardowskiego, który umiał w ciągu kilkunastoletniej działalności profesorskiej rozniecić wśród swoich słuchaczy zapal i zamiłowanie do studyów i badań filozoficznych i chlubi się już dziś takimi uczniami, jak dr. dr. Łukasiewicz i Witwicki, owocna działalność naukowa prof. Balzera (historia prawa polskiego), Wilhelma Bruchnalskiego (literatura polska), Edwarda Porębowicza (literatury romańskiej), Wojciechowskiego, Finkla i Dembińskiego (historia), Nusbauma i Dybowskiego (przyroda), wreszcie, że nie wymienię innych, powołanie na katedrę literatury porównawczej Jana Kasprowicza—świadczą o tem wymownie.

Zwłaszcza od chwili dopuszczenia do uniwersytetu kobiet, prąd życia umysłowego płynie we Lwowie korytem coraz głębszym i ogarnia coraz szersze kręgi społeczeństwa, dowodząc tego wpływu dobroczynnego, jaki wywiera zawsze ognisko nauki prawdziwej na to środowisko, wśród którego istnieje i działa.

Na potwierdzenie słów powyższych niech mi wolno będzie powołać się na ruch wydawniczy, panujący obecnie we Lwowie. Coraz więcej mamy książek polskich, tłoczonych nakładem księgarzy lwowskich, a nie brak wśród tych edycji żadnego działu nauki i sztuki. Praca kulturalna rozwija się z każdym rokiem, wzmaga się i potężnieje, niosąc namuł dobroczynny na umysłowość całego kraju. Dość będzie, jeżeli przypomnę wspaniałe wydawnictwa *Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych*, postawione na poziomie europejskim i posiadające już ustaloną opinię w całej Polsce.

W rozwoju literatury i sztuki polskiej doby najświetszej, Lwów także nie mała odegrał rolę. Kasprowicz przez dwudziestoletni pobyt w tem mieście stał się poniekąd Lwówianinem, Leopold Staff, najprzedniejszy dziś poeta wśród młodych, jest dzieckiem Lwowa, podobnie jak German, Makuszyński, Irzykowski, Mueller (autor *Henryka Flisa*) i w. in., walczących dopiero o pasy i ostrogi rycerskie w szrankach piśmiennictwa.

Malarstwu dał Lwów Stanisława Dębickiego, Augustynowicza, Ćwiklińskiego i Pautsch'a; rzeźbie—Ostrowskiego i Popieła; muzyce—Galla. Wszystko to świadczy



o poważnej roli, jaką stolica Galicyi odgrywa obecnie w polskim życiu kulturalnym.

I życie to niewątpliwie zapuszcza coraz głębsze korzenie w mieście, walcząc z ustępującym przed nim tradycyjnym *kołtuństwem*.

Czynnikiem, który w tej walce odgrywa rolę niepoślednią—jest prasa. Posiadająca piękne tradycje z czasów gorących walk ideowych i ścierania się prądów, trzyma ona wysoko swój sztandar i tętni życiem.

Lwówianin, kształcony od dziecka przez swoją prasę i od dziecka patrzący na akcję polityczną stronnictw, na ich walkę wyborczą, tryumfy i klęski, jest urodzonym politykiem i lubi atmosferę polityczną. Orientuje się szybko i dobrze w sprawach kraju i państwa, ale poza krewkiem i krzykliwym mieszczaństwem, ma zbyt wiele oportunistu, a zbyt mało temperamentu, aby tę orientację chciał i mógł doraźnie wyzyskiwać.

Konspiracyi nie zna, bo ani sam nie potrzebował uciekać się do niej, ani najbliższa tradycja mu jej nie przekazała. Przyjazną rękę jednak wyciągnie do każdej ofiary stosunków ościennych i pomoc swą bez wahania okaże Polakowi z innej dzielnicy. Do Warszawy tylko lęka się jechać...

Wyrozumiały i pełen tolerancji dla przekonań odmiennych, ostrych środków walki nie uznaje. Ostatnie dopiero dziesięciolecie, w którym życie polityczne kraju zaogniło się naprzód przez wystąpienie socjalistów na szerszą arenę, później przez zaostrenie się sprawy ruskiej, potrafiło zelektryzować Lwów kilkakrotnie i dowiodło, że budzi się on i na tem polu do nowoczesnego życia, dążąc do rewizji i prawidłowego układu sił w społeczeństwie, tudzież do świadomej obrony interesów polskich.

W tych momentach wystąpiła też na jaw rdzenna, odwieczna, niezaprzeczonej polskość tego miasta, której nie przygłuszają ani ciężkie dzwony Ś-go Jura, ani te, co grają pod niebem na cudownie pięknej wieży cerkwi wołoskiej, ani też odgłosy bojowych pieśni „siczy” ukraińskich.

W tych murach, które z wyżyn góry Zamkowej lub z platformy parku Kilińskiego bieleją w kotlinie niewidzialnej Pełtwi i dziwnie przypominają z daleka Florencję, mieszka na wskroś polska dusza i bije na wskroś polskie serce, jednakże w piersi biurokraty z chwilą, gdy kończy zajęcia służbowe, jak w piersi patriotycznego mieszczaństwa ze „Strzelnicy”, rzemieślników, urządzających obchody narodowe w swoich „Gwiazdach”, młodzieży, pielęgnującej najszczytniejsze nadzieje na jutro, i wyrabiających się dopiero na przyszłych obywateli kraju *synów włóściańskich*, przepelniających szkoły średnie, zdemokratyzowane zupełnie i tylko nie wolne jeszcze od pokostu austriackiego.

Ale z każdym rokiem, niemal z dniem każdym, pokost ten odpada szerokimi płatami z życia lwowskiego wraz ze sztucznym tynkiem centralizmu i ukazuje mocną, zdrową budowlę przyszłości narodowej, która tu ma jedną z silniejszych twierdz swoich, opromienioną bohaterstwem i glorią Sobieskich i Jabłonowskich, obrońców miasta i narodu w wiekach ubiegłych.



HISZPAŃSKI PISARZ LUDOWY

J. B. BURGESS



POZWANA I OBROŃCY

W. F. YEAMES

chaną, czy też przeciwnie? Dlaczego ma być już zapóźno?—pytano powszechnie.

Wreszcie zmuszono artystę do wyjaśnienia treści obrazu.

— Chciałem—odparł—przedstawić dziewczę, którego ukochany wyjechał po to, by, powróciwszy, zastać narzeczoną w ostatnim stopniu suchot.

Niemniej może wzbudził zajęcia obraz członka Akademii Królewskiej, W. F. Yeamesa, p. t. „Pozwana i obrońcy”. Zaciekawienie publiczności doszło nawet do tego stopnia, że właściciele znanego pisma ilustrowanego *The Graphic* nabyli obraz i ogłosili konkurs na rozwiązanie zawartej w nim zagadki.

Nadesłano setki rozwiązań mniej lub więcej romantycznych. W końcu wystąpił sam twórca obrazu, oświadczając w liście publicznym, że pragnął odtworzyć starcie pozwanej z adwokatami, usiłującymi w pokoju narad sądu rozwodowego dobyć z klientki zeznanie, na którym polegałaby jej obrona, klientka jednak wzdraga się zadosyćuczynić żądaniu temu, nie chcąc skompromitować osoby trzeciej.

I tu więc widzimy, że środki, którymi rozporządza artysta-malarz, najbardziej nawet utalentowany, nie zawsze pozwalają na to, aby dzieło wyobraźni jego było zupełnie jasne i zrozumiałe dla wszystkich.

S. B.

NASTROJE WARSZAWSKIE.

NA ZERZE.

— Co słycać?

Któryż spotkany znajomy nie zwraca się z tym stereotypem do spotkanego znajomego!—I—najczęściej nie słuchając odpowiedzi, pędzi dalej. Bo my, w Warszawie, wolimy bardziej sami opowiadać niż słuchać. Właściwość to naszego, powiedzmy, temperamentu.

Słychać zaś faktycznie to chyba jedynie, że stoimy oto—na zerze. Rozumie się... na zerze zimna i ciepła. Taka już tegoroczna przypadła nam zima w udziale. Para stopni w dół—para stopni w górę; śnieg poproszy, to stopnieje; dziś trochę błota, jutro mróz suchy lekko szczyplnie za uszy; i tak z dnia na dzień przekołataliśmy się, z łaski Bożej, ku wiosnie aż za Trzy Króle.

Śniegi rzetelne widzimy na importowanych z Krakowa obrazach Fałata; krajobraz jako tako zimowy w Ogrodzie Saskim, a kuligi—w piosenkach Laskowskiego.

Zupełnie jak—konstytucję, której nam wcale piękny wizerunek przynoszą telegramy—z Konstantynopola. Ale, prawdę rzekłszy, my się *nawet* turecką konstytucją już nie interesujemy. Ba! takie dziś na świecie dzieją się co chwila nadzwyczajne

rzeczy, że, jeśliby gdzieś tam nawet księżyc spadł na ziemię...

Za pozwoleniem! Toć—że przecie p. Dmowski składa mandat i usuwa się, *procul negotiis* z życia politycznego?—Doprawdy?—A jakże, wiemy, wiemy... No to i co? P. Nowodworski pojedzie na jego miejsce do Petersburga i po tej lekkiej fluktuacji w Kole Polskim znowu osiadziemy na zerze—politycznym. Wartoż się tem emocyonować!

Polityczne artykuły w dziennikach, powiadasz pan? A no, rozumie się, muszą być! Tylko, że ich nikt nie czyta. Galwanizuje się w rozmaity sposób nasze „życie polityczne”, ale jak go niema, tak niema. Zupełnie jak zimy tegorocznej.

Zero interesowania się jw. polityką—zero.

Słychać jednak, że „realiści” obejmą ster myśli politycznej w Kole Polskim, co? Zawsze to ewenement. Tak pan sądzi? A nam się tu widzi, że właśnie realna myśl polityczna już zapanowała tak dokładnie i trwale w Kole naszym, że pp. realiści nic już jej chyba ani dodać, ani ująć nie potrafią.

Zniczuleni my i na mrozy, i na upały. Nie mamy nawet sposobności dla zadokumentowania naszej czułości lub nieczułości. Wszelka skrajność na widnokęgach naszych—ustała. Co pan dobrodziej czyni dziś z wieczorem swoim? Posiedzeńko może? Sesyjka? Zgromadzeńko? Narada? Wiecyk? Manifestacyjka? Przewidywane aresztowańko?—Co? Nic z tego zgoła? Jaka przywacza! jakaż przykra przywacza!

Ha!... niech tedy będzie—„Madame Butterfly”!

Do teatrów bowiem chodzimy bardzo, bardzo ochotnie. Prawie tak ochotnie jak do kabeletów. Do Filharmonii też. Choć już tam ani zapachu „gwiazd” Rajchmanowskich. Same cudowne dzieci!—*ad libitum*. W Fitelbergu zaś kocha



ZAPÓŻNO

W. L. WINDUS

się niezliczona ilość panien, i tą właśnie drogą wstępuje w miasto nasze niebywała muzykalność. Z popularnością wreszcie koncertów symfonicznych konkuruje „wziętość” odczytów Belmonta, wymyślającego coraz to pikantniejsze onych tytuły. Na odczyt np., traktujący o tem, „czego nie wiemy o mężach naszych”, pobiegły tłumy—dziewic. Sądzą, widać, niebożatka, że mąż do męża podobny, jak kropla do kropli... Każdy inny, droga panno Zenobio, każdy inny! A najbardziej niepodobnym do samego siebie *stanie się* mąż własny pani—po niejakiem czasie.

O magistracie przycichło—jakby go ziemia pochłonęła. Nie chce się nam zająć nawet karnawałem. Może uda się nam roztańczyć—ale nikt jeszcze w chwili obecnej ręczyć za to nie będzie. Zero—ochoty tradycyjnej i impetu. Na przelomie lata i jesieni trochęśmy, półgębkiem, skosztowali neoslawizmu, ale rychło straciliśmy gust do niego. Młdy—i fatygujących potrzeba wysiłków, aby się doń rozpalić. Więcemy się przeczucili do bojkotu towarów niemieckich, ale poszło jakoś jak z kamienia, i ostygliśmy w zapale, nie doczekawszy nawet nastania chłódów zimowych.

Była chwila szerokiego rozczytywania się w „Dziejach grzechu” Żeromskiego. Ale—prze czytano już; wysłuchana cała serya odczytów; wypisano i przedyskutowano wszystkie „za” i „przeciw”. Pytasz pan: co „na dobie” w literaturze? A no, *wypada* zająć się Słowackim. Prasa robi co może, aby stworzyć „rok Słowackiego”, lecz stała się ze Słowackim taka mniej więcej przygoda, jak z Wyspiańskim. Taką w krótkich abcgach wyszafowano moc najgórnějších i najwyszukańszych zachwyków i epitetów, że wyczerpano do dna wszystko, co było do powiedzenia i odczucia. Starczyło tedy amunicji na... miesiąc, dwa miesiące. A czemże zapełnić pozostałych dziesięć miesięcy? Trzask niemały wynikł... w gazetach z trzęsienia ziemi we Włoszech południowych. Prawie podniosło to wielu w oczach własnych, że dożyli „największej, jak świat światem, katastrofy żywiołowej...” o kilka stąd tysięcy kilometrów. Ale, w gruncie rzeczy, owa Messyna, Reggio, Kalabrya i Sycylia niezwyklejszego wrażenia nie wywarły—w Warszawie. Takie to dalekie...

— A no, jak widzę, to zgoła u was niewiele co słycać?

— A niewiele. Takeśmy się w ostatnich czasach nagadali, że nikomu już nie chce się mówić—ani słuchać.

— Bój się pan Boga! A toż wojna za pasem! Serbia podobno tylko czeka wiosny...

— Wojna? Gdzie, co, jak? Nie wierzymy. Ani w wojnę, ani w nic wogóle. Nawierzyliśmy się dosyć. Basta. Nic nie było—nic nie będzie.

— Co mi pan powiadasz! A to żadna sytuacja!... Bądź pan tedy zdrow; to jedno tylko pozostaje mi życzyć.

— Wzajemnie, wzajemnie.

— Szacunek!

— Moje uszanowanie!

GENTILUOMO.

BOLESŁAW PRUS:

Wizye przyszłości

KRONIKA TYGODNIOWA.

Prawie każdy czytelnik naszych dzienników miał sposobność dowiedzieć się o przepowiedniach na rok 1909-ty, wypowiedzianych przez panią Thèbes Francuzkę i Müllera Niemca. Już wiemy, że rok, świeżo zaczęty, odznaczy się niepokojami: wojnami, rewolucjami, śmierciami monarchów, upadkami tronów, a nawet—nadzwyczajnymi burzami i pożarami. Wątpię jednak, czy wielu czytelników spotkało w odnośnych organach choćby nazwisko H. G. Wellsa, a tem bardziej—coś słyszało o jego „Przewidywaniach”, mocno odległych od nas, sięgających aż... 2000-go roku, czyli początków XXI-go stulecia...

Otóż, według mojego, może mylnego sądu, „Przewidywania” Wellsa zasługiwałyby na nieskończenie pilniejszą uwagę, aniżeli prorocstwa pań Thèbes i panów Müllerów. Gdy bowiem pani Thèbes opiera swoje wróżby na... astrologii, a p. Müller na „transach magnetycznych”, Wells—wnioski o przyszłości społeczeństw wyprowadza z obserwacji nad temiż społeczeństwami. Tamta i tamten są jasnowidzami, poniekąd czarodziejami; zaś Wells swoje przewidywania wyklada, niby ogrodnik, mówiący o przyszłości drzew, które mniej więcej poznał. To drzewo będzie mocno rozwijać się, ponieważ jest zdrowe, silne, ma dobry grunt, odpowiednią wilgoć i dostateczne światło. Inne drzewo rozwinię się słabiej, ponieważ rośnie na gruncie nieosobliwym, a jeszcze inne—może w ciągu lat zupełnie zginąć, gdyż ma złe otoczenie i jest napoczęte przez robactwo.

Wells, jak wiadomo, jest powieściopisarzem angielskim. Maeterlinck nazywa go: „wielkim poetą natury... imaginacją najbardziej kompletną, najbardziej niewyczerpaną, najmniej dającą się przewidzieć i najlogiczniejszą w naszej epoce”... Istotnie, jest to umysł o potężnej twórczości, wykształcony na matematyce i naukach przyrodniczych. Jego tematy są nadzwyczajnie fantastyczne, np. Podróż w przyszłość, o kilkadziesiąt tysięcy lat oddaloną od naszych czasów.—Dzieje anioła, który spadł na ziemię pomiędzy ludzi.—Człowiek niewydzielny.—Napał mieszkańców Marsa na kulę ziemską i t. p. Wszystkie jednak tematy Wells obrabia w taki sposób, że owe nieprawdopodobne wydarzenia widzimy, a niemożliwe przedmioty i ludzi nie tylko widzimy, ale i dotykamy. Krótko mówiąc, w umyśle tego człowieka arabska czy indyjska imaginacja skojarzyła się z angielską logicznością, ażeby rodzić pomysły nowe i oryginalne.

Gdy w roku 1901-ym ukazały się „Przewidywania”, jeden z krytyków oświadczył, że rząd angielski ma obowiązek wyznaczyć pensję Wellsovi, ażeby mógł on wyłącznie zajmować się prorocstwami. Może to koncept, w każdym razie charakterystyczny.

Poznawszy nieco autora, spojrzymy na dzieło. Jakże tedy będzie wyglądał (według Wellsa) świat w roku 2000-ym?...

Juści tu i owdzie na kuli ziemskiej znajdują się okolice, gdzie cały widnokrąg wypełniają pola, kępy drzew, lasy—bez śladu budynków i ludzi. Wogóle jednak krajobrazy będą całkiem odmienne: gdyż obok pól niewielkich, trawników i ogrodów, znajduje się mnóstwo domów mieszkalnych, mnóstwo dróg żelaznych, szos dla rowerów i samochodów, kanałów dla poczty pneumatycznej, drutów

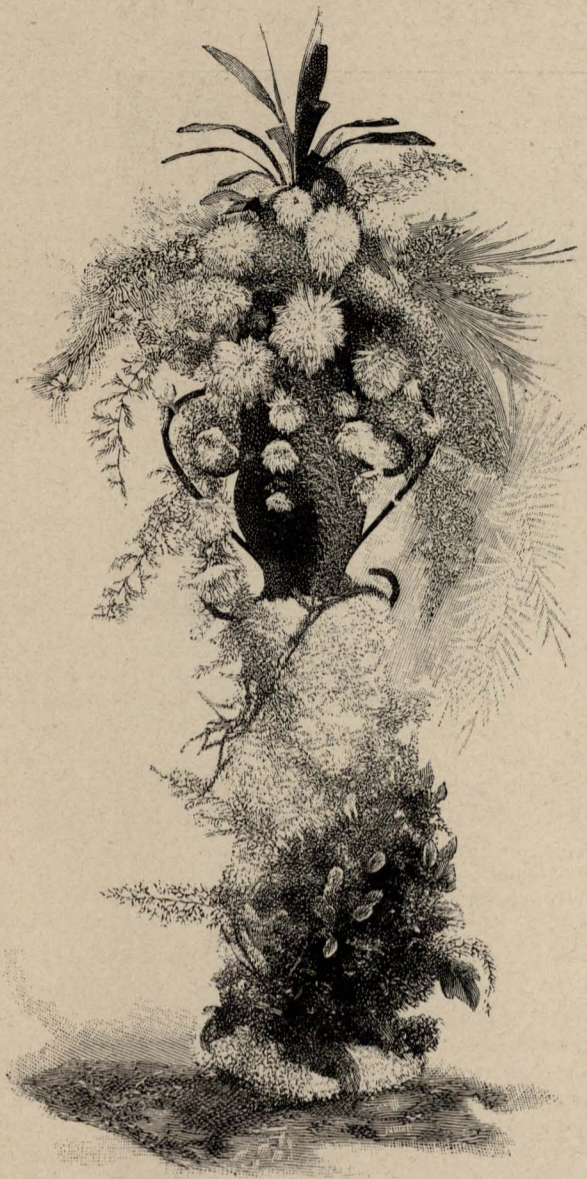
telefonicznych, telegraficznych i t. d. Dzięki temu zatreze się dzisiejsza różnica pomiędzy wsią i miastami: na wsi będzie trochę mniej wielkich budynków, w mieście trochę mniej trawników i ogrodów. Miasta jakby rozpląną się, ale też i zajmą kolosalne przestrzenie: 40,000 do 80,000 kilometrów kwadratowych z ludnością 20 do 40 milionów!... A stanie się to dzięki bardzo ulepszonym środkom komunikacyjnym, które pozwolą okrętom przepływać do 80 kilometrów, pociągom kolejowym przebiegać do 150 kilometrów na godzinę. Tym sposobem pracownik, mieszkający gdzieś w Kutnie, w Białej, lub w Nałęczowie, będzie mógł codzień rano przyjechać na robotę do Warszawy, a codzień wieczorem wracać z Warszawy do domu. Albowiem podróże będą nie tylko szybkie, lecz wygodne, dobrze zorganizowane i tanie, o czem dziś, w naszych np. stosunkach, jeszcze nie można marzyć.

Czytelnik domyśla się, że domy mieszkalne w XXI-tym wieku posiadać będą mnóstwo nieznanych nam, albo jeszcze nie spopularyzowanych urządzeń: centralne ogrzewanie i oświetlenie, wodę, wentylatory, maszyny do usuwania kurzu, kuchnie, opalane elektrycznością i t. p. Zaś z ulic miejskich znikną wozy konne, ustępując miejsca samochodom, tramwajom elektrycznym podziemnym i nadziemnym, ruchomym chodnikom... Maszyny jednak latające nie odegrają tej roli, jakiej się spodziewamy: nie będą przewożyły towarów i podróżnych; najważniejszą korzyść z nich odniesie sztuka wojenna, no—i sport latania w powietrzu.

Książka Wellsa pełna jest oryginalnych i głębokich poglądów, ale cenne jej materiały nie są dość uporządkowane. Mimo to spróbujemy dać czytelnikowi kilka rysów człowieka i społeczeństwa z roku 2,000-go.

Człowiek ówczesny, z klasy panującej, (gdyż i w wieku XXI-ym będzie klasa panująca nad innemi!), człowiek taki musi być przedewszystkiem—zdrowy i silny. Najprzód dlatego, że zdrowi i silni są najpotrzebniejsi w społeczeństwie, powtóre—że chorowitym rodzicom... nie wolno będzie mieć dzieci, po trzecie—że dziecko chorowite, niedożywione... musi umrzeć dobrowolnie, albo z pomocą osób trzecich... „W nowym społeczeństwie śmierć nie będzie strasliwą zagadką, ale pełnem liłości usunięciem tego, co słabe, nieudolne, bezużyteczne”... Zdrowy chłopiec w wieku właściwym pójdzie do szkoły początkowej, gdzie za pomocą najłatwiejszych metod nauczy się logiki, matematyki, języków nowożytnych, rysunku i posiadać najniezbędniejsze wiadomości naukowe. Później wstąpi do specjalnej szkoły technicznej (rolniczej, handlowej czy rzemieślniczej), albo na uniwersytet, gdzie obezna się z krytyką i posiadać sztukę samouctwa. Resztę ukształcenia i wychowania zdobędzie w życiu.

Tak urobiony człowiek będzie odznaczał się niezłomną energią, popędem do panowania nad naturą i ludźmi, umysłem realnym i logicznym. Z uczuć będzie posiadał nieustraszoną odwagę i wielkie poczucie własnej godności. Będzie religijnym, czyli usiłującym odgadnąć wolę Boską, ale nie w pismach czy subtelnym rozumowaniach, lecz w naturze, w społeczeństwie i we własnej duszy. I zrozumie, że: „świat ma jakiś większy cel, aniżeli szczęście, i że nasze istnienia muszą służyć planowi Boskiemu, który nie ma na celu człowieka, lecz—za pośrednictwem człowieka—dąży do wznioślejszych rezultatów”...



WIKTOR GOMULICKI:

SPŁOWIAŁE KARTKI.

I.

Przeszłość — minęła; przyszłości — niema.
Chwilę rękami trzymam obiema.
Chwila mi wszystkim; chwilą się poję...
O cudne oczy! rozkoszy zdroje!
O słodkie usta! marzony raj!
O piersi, wonne, jak łąka w maju!
Nieskończoności mija mnie fala!
Czas w miejscu stanął; troska śpi zdala.
Jestże już jesień? trwa jeszcze lato?
Widzę raz jeszcze wiosnę bogatą?
Nic nie wiem, w błogą zapadłem ciszę,
I tylko szept jej zdyszany słyszę:
„Ach! teraz umrzeć!..“

II.

O! jak duszę mi oplata!
O! jak nęci mię i ludzi
Czar, co z twoich bije lic...
Poza tobą niema świata,
Poza tobą niema ludzi,
Poza tobą niema nic!

Wszystko w tobie się zamknęło,
Com napotkał dobrowieszce
Wśród obłądnych życia dróg...
Wiem, żeś boskie arcydzieło—
Ale czasem myślę jeszcze,
Żeś — świat, niebo, wieczność, Bóg...



ŚWIĘTO W GHETTO
Z wystawy T. Z. S. P. w Warszawie

SAMUEL HIRSZENBERG

„Wierzyć w Boga jest to wierzyć w doskonalenie się wszystkiego, co istnieje”...

„Im gorliwiej szukać będziemy porządku i rozwoju zarówno w nas samych, jak i w świecie, tem jaśniej zrozumiemy Boskie zamiary”...

Człowiek przyszłości będzie szanował prawa i rzetelnie spełniał swoje obowiązki; ale nad sobą, ani obok siebie nie ścierpi samowoli. Będzie to człowiek czynu, użytecznego, wysoce intelektualnego, jakich przedstawicielami dziś są—nie poeci, nie artyści, nie mówcy i politycy, ale—inżynierowie i lekarze.

O użyteczności lekarza nie potrzebuję wspominać: czuwa on nad zdrowiem i życiem ludzi—czyli, największego skarbu społecznego. A co się tyczy inżynierów, przypomnijmy sobie inżyniera komunikacji, mechanika, elektrotechnika, chemika, górnika, architekta, agronoma i t. p. i t. p. Czyliż nie jest jasne, że w rękach tych ludzi znajdzie się kiedyś cały dobrobyt i bezpieczeństwo ogółu, zaczynając od kolei, samochodów i statków wodnych, od maszyn i materiałów wojennych, kończąc na powietrzu, wodzie, mieszkaniu, oświetleniu i ogrzewaniu?

Rzecz prosta, że ludzie, posiadający takie środki władzy nad innymi i takie zasoby umysłowe, muszą kiedyś porozumieć się we wszystkich krajach ucywilizowanych i właśnie oni to—stworzą Nową Rzeczpospolitą. Dziś lekarz i inżynier nie mają znaczenia w wojsku i w polityce; z czasem staną się ich panami.

Obok tego typu mężczyzn wyrosnie odpowiedni typ kobiet: mądrych gospodyń, matek i wychowawczyń, które będą rozumiały swoich mężów i staną się ich pomocnicami w dziele uzdrowotnienia i przebudowania społeczeństwa.

W Nowej Rzeczypospolitej nie będzie tej równości, o jakiej lubią marzyć prorocy i apostołowie przyszych reform; owszem, zarysowują się bardzo wyraźnie cztery jakby klasy społeczne: 1-mo. Działacze właściwi t. j. lekarze, inżynierowie różnych stopni i specjalności, ich pomocnicy i wykonawcy planów, wszystko to dzielni, ukształceni fachowo ludzie, których praca przynosić będzie największe korzyści ogółowi. Oni nadawać będą ton Rzeczypospolitej, oni utworzą jej klasę rządzącą. 2-do. Swobodni bogacze, rozmaici akcyonariusze, których liczbą będzie wzrastać, skutkiem mnożenia się bogactw. Oni będą popierali mody, sztuki piękne, zabawy, spacer, wyścigi, a nadewszystko—będą próżnowali. 3-o. Koniecznym dopełnieniem klasy poprzedniej będzie tak nazwany przez Wellsa: „lud z otchłani”. Na tę grupę złożą się dziesiątki i setki tysięcy osobników bez fachu, bez stałej pracy, nieukształconych, słabego charakteru, którzy niekiedy dostają jakieś zajęcie i spełniają je nieporządnie, w wolnych zaś chwilach przenoszą się do przytułków, szpitalów, więzień i w rezultacie—giną z nadużyć, chorób albo... z wyroków sądowych... 4-to. Pewna liczba—jak mówi Wells—ludzi nieprodukcyjnych, utrzymująca się z zamieszek społecznych.

Pod względem religijnym w klasie panującej przeważać będą teiści naukowcy; bogacze i lud z otchłani zbliżają się do „pobłażliwej, dobroczynnej i malowniczej religii katolickiej”, podczas „gdy surowy protestantyzm zużyje się, jak stara szata”. Zaś obok teizmu i katolicyzmu istnieć będzie mnóstwo sekt niekiedy bardzo dziwacznych i dziecinnych.

Związki między kobietą i mężczyzną w klasie panującej będą przeważnie monogamiczne, a ich celem: jak najlepiej wychować potomstwo. Wśród innych klas nie zabraknie związków wolnych, licznych rozwodów, tudzież

kobiet, żyjących po to tylko, ażeby stroić się i bawić.

Nareszcie—kwestye narodowościowe w Nowej Rzeczypospolitej rozstrzygną się w sposób jeżeli nie łatwy, to przynajmniej prosty. Ponieważ nikt nie będzie nikogo wynaradawiał, ani drażnił jednych narodów przeciw innym, więc dzisiejszy chorobliwy nacjonalizm osłabnie. Ale ponieważ wielkie interesy cywilizacyjne będą wymagały porozumienia się, politycznego zjednoczenia wszystkich ludów, więc każdy człowiek, jako tako oświecony, obok własnego języka musi posiadać drugi, wszechświatowy. Niebędzie nim jednakże Volapük, albo Esperanto, ale — angielski lub francuski, do pewnego stopnia — niemiecki. Niemcy — wszystko według Wellsa—wprawdzie posiadają bardzo liczną klasę inżynierów, techników, uczonych, bardzo bogatą literaturę i... wielką ochotę do zgermanizowania Słowian... Na nieszczęście piękne przymioty narodu niemieckiego zatruwa pruski imperyalizm, junkierstwo, pycha i pewien rodzaj niewoli umysłowej, który—bardzo szkodzi rozwojowi samodzielności, zalety niezbędnej w Nowym państwie. Niemcy zostaną pobici na lądzie i morzu i w rezultacie „ostateczne zwycięstwo odniesie nie imperyalizm i germanizm, ale idea zjednoczenia europejskiego na wzór szwajcarski, idea cywilizowanego republikanizmu, który w zachodniej Europie posługiwać się będzie językiem francuskim”.

Słowianie zachodni—według Wellsa—połączą się ze związkiem europejskim. Na przyszłość Rosji autor zapatruje się pesymistycznie.

Nie mogę lepiej zakończyć tej—niestety! bardzo a bardzo niedokładnej wzmianki o książce Wellsa, jak przytaczając jego następujące słowa:

„Naród musi rozwijać i zabezpieczyć swoje klasy oświecone a użytecznie działające, albo—zostanie zwyciężony w walce, a jego interesy zejść na drugi plan, wobec interesów społeczeństw zdolniejszych... Przyszłe boje naprawdę rozegrywać się będą w szkołach początkowych, średnich, w uniwersytetach i wogóle tam, gdzie ludzie czytają, piszą, kształcą się. Naród, który w najbliższej przyszłości wytworzy największy zastęp mechaników, rolników, lekarzy, nauczycieli, żołnierzy fachowych a inteligentnych, naród, który w sposób jak najbardziej stanowczy pozbędzie się swoich pierwiastków zbrodniczych i demoralizacyjnych, wypłeni namiętność do gry, pozostawi swobodę ambycjom, ale ograniczy wpływy próżnujących bogaczy, naród w końcu, który największą ilość zawadzającego mu tłuszczu przerobi na mięsny, ten naród stanie się najpotężniejszym, ten wysunie się na pierwszy plan w roku 2000-ym!”...

Prawie te same poglądy polscy czytelnicy mogli byli przyswoić sobie na wiele lat przed ukazaniem się książki Wellsa. Nieszczęściem—dla podobnych rzeczy u nas jeszcze nie nastąpiła moda...

TRZEJ.

(ZAMIAST POLITYKI).

Perski Mohamed Ali,
Dostojny szachów szach,
Porządek sobie chwali
I kontent jest, aż strach!
Powtarza mądre słowa,
W których treść rządów tkwi:
„Gdy z batem mam Lachowa,
Na cóż Medżilis mi?”

Przyjaciel zacy, Lachów,
Ten zna rzemiosło swe,
Rewolucyjnych strachów
Napatrzył w życiu się.
Bez długich allokucyi
Nahajka: raz, dwa, trzy!...
I koniec konstytucyi!...
O, Ałlach! Dzięki Ci!

Z tęsknotą, co w obliczu,
Jak smutny kwitnie kwiat,
Na statku, na pokładzie,
Niemiecki cesarz siadł.
I lzy mu prawie cieką,
Wśród rozpaczliwych snów,—
On uciec chce daleko,
Gdzie gadać mógłby znów.

Cesarzu, ach, cesarzu!
(Kawecka nuci tak),
Na czasów półzegarzu
Niedobry wybił znak,
Swoją zapał oratorski
Na zawsze tedy słum,
Bo wie już nawet Prusak,
Że gadasz: „*Viel und dumm*”...

Serbski następca Jerzy,
Co sławnym stał się w mig,
Ogromnie się zaperzy,
Jak młody kogucik!
Marsowo strasznie sapie,
Na cały głos się drze
I wbrew staremu papie
Koniecznie wojny chce.

Przyczynę masz asindziej,
W której tkwi całe zło:
Ni w ciemności, ni gdzieindziej
Nie bijął ojciec go.
Więc chłopskie nasze gadki
Przypomnieć sobie chciej:
Nie słuchał ojca, matki,
Posłucha skóry psiej!



Szach Mohamed Ali Mirza



Cesarz Wilhelm II.



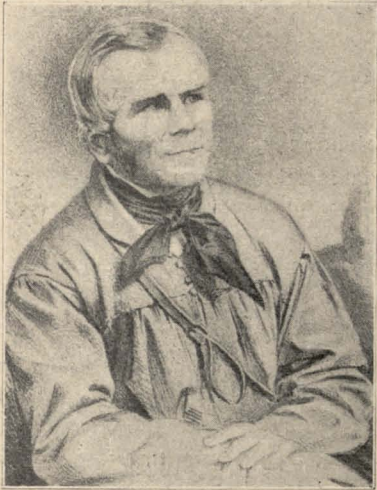
Ks. Jerzy serbski.

MARYMONTCZYCY.

Z CYKLU: „WIEŚ“.

Wyszła niedawno z druku książka jubileuszowa *Rolnika i Hodowcy* p. t. „XXV-lecie Rolnictwa Polskiego” (1883—1907), książka ciekawa, pouczająca, mająca wartość historycznego dokumentu.

Znajdzie się zapewne w każdym ziemian-skim dworze, w rękach każdego, co ziemię rodzinną i jej sprawy kocha.



Wojciech Jastrzębowski.

Mnie dała ona garść w razeń, garść wspomnień najdroższych. Podsunęła mi i temat do przypomnienia zasług tych, co postępowi rolnictwa polskiego

przodowali, co bodaj podwaliną jego byli.

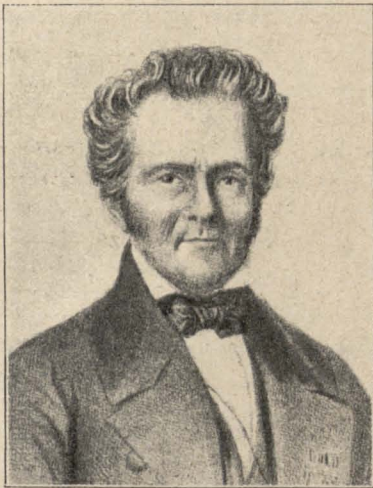
Na pierwszych kartach pomienionej książki jest serdeczne wspomnienie Marymontu.

Szczęśliwa uczelnia!

Marymontczycy! Kto tego nazwania nie słyszał!

Szczęśliwa uczelnia! Wykształciła cały szereg oby-

wateli kraju, obywateli zasłużonych i kochanych! Wynoszą oni z niej poza wiedzą zawodową coś więcej jeszcze: prawosć, umiłowanie obowiązku, głęboko wkorzenioną miłość ziemi, głębokie ukochanie społeczne.



Michał Oczapowski.

I takimi byli ci Marymontczycy, których szeregi rzedną z dniem każdym.

Orali i kochali ziemię...

Jak kochali! Ta zaszczerpiona w czasach marymonckich miłość trwała u nich w młodzieńczej krasie i zapale do srebrnej siwizny, tak młoda, pogodna, jak wtedy, gdy z kochanym „Jastrzębiem” w granatowych mundurkach przebiegali kraj cały, w słynnych pod wodzą zasłużonego profesora *ekskursjach!*

Pogodni ludzie... mimo trosk i zawodów z pogodą oparci o plug, patrzeli w przyszłość, trwając na stanowisku, jak na wyłomie, świecąc przykładem pracy i dobrej woli.

Pogodni, kochani ludzie...

Nie stało uczelni, zostali oni na dalszy sięw marymonckich ideałów.

I nie oszczędzili ziarna.

Cokolwiek się w kraju po latach 60-tych zeszłego stulecia stało, we wszystkim byli uczniowie Oczapowskich, Jastrzębowskich, Przyszańskich udział czynny brali.

Dla nas, młodszego pokolenia,

„Marymontczyk” stał się górą szarżą, przed którą godziło się i należało uchylić głowy.

Nazwa ta obejmowała już nie tylko zasłużonego rolnika.

Zawdzięczamy im więcej może, niż serce odpłacić w stanie.

I dziś, mimo czasu przedział, sięga się jeszcze do tej „arki” ich czasów po pokrzepek.

Szczęśliwa uczelnia. Uczyła kochać i była kochana...

Kto nie czytał pism „Jordana”? Znamy je bodaj wszyscy!

Tylko kochany przedmiot takie pióro znaleźć może, tylko kochany i kochający uczeń tak o swem w tak smutnych czasach kochaniu pisać.

Śmiejesz się przez łzy i płaczesz z radości, i drogiemi ci te wspomnienia, jakby twe własne. Czujesz się częstką potomną tych, co marymoncki przebiegali dziedziniec, myślisz z nimi, pragniesz i kochasz, co oni.

Bo kochaniu temu: ziemia ojczysta.

I chociaż może ani tej ich pogody, ani werwy, ani hartu nie posiadasz, rwiesz się w steczki, ich śladem wydeptane, przez nich marzone chłoniesz, w przykazanem trwasz...

I lżej ci w ciężkiej doli.

Marymontczyk to górna szarża!

Pokłon szeregowi węgielnych wsi polskiej ludzi.

K. LASKOWSKI.



Julian Wieniawski (Jordan).

ADAM KRASIŃSKI.

Żalobna wieść przeleciała Polskę całą: zmarł Adam Krasiński, wnuk Zygmunta, szlachetny spadkobierca wielkiego dziada i szeregu dostojnych przodków, prawy człowiek, gorący patriota, dzielny, niestrudzony działacz, utalentowany pisarz, szczerzy poeta, przywiązany całą głębią duszy do ziemi rodzinnej obywatel kraju.

Ostatni z ordynackiej linii wielkiego rodu, daj Boże, aby nie ostatni z przedstawicieli arystokracji polskiej, związany każdym swem uczuciem, każdą myślą, każdym czynem ze sprawami ojczyzny, z jej dobrem, z jej przyszłością lepszą.

Śmierć Krasińskiego, odejście tego jasnego, pięknego ducha to cios dla narodu ogromny, to nieodżałowana, niepowetowana dla Polski strata. Nim w zeszycie następnym poświęcimy zmarłemu godne jego pamięci wspomnie-



DWÓR W CHLEWNI.

nie, w tych kilku słowach wyrażamy głęboki smutek i żal z powodu przedwczesnego zgonu męża, który „potykaniem dzielnym potykał się” i, schodząc ze świata ostatni ze swego rodu,



ADAM hr. KRASIŃSKI.

zawarł w sobie wszystkie tego rodu splendory duchowe i wzniosłe dawnych senatorów Rzeczypospolitej cnoty.

ADAM KRASIŃSKI:

Fragment z „Trzech szarż”

(SOMOSIERRA *).

Jak krasne płoną maki, ich czeka z purpury,
Pędzący szwadron w słońcu gra w płomieniach—
pała,
Zakręt biorą czwórkami.—Biały dym u góry
Wyrósł,—wraz drugi, trzeci—czwarty—
—Grają działa.

* * *

Szalony szwadron w dym leci...

Wy, co leżycie tam biali,
Skrwawieni—wy, Boże dzieci,
Żegnajcie!...

Myśmy zostali...
Nam, jeźdźcom, szumny wiatr głaszcze
Skronie, a szabla nam wrosła
Do garści... W armatnią paszczę
Patrzmy, bo piękną śmierć niosła.
Patrzmy—i idziem do kresu,
Patrzmy, jak w dziewczyny lica,
Patrzmy—i weźmiem—daj biesu!
My—chłopcy—polska konnica.

Nasza bateria! Psubraty
Czają się... Nie dać pardonu,
Bij, wiaro! Nasze armaty!
Naprzód, ostatek szwadronu!
Naprzód!

— Ktoś wali się z siodła!
To Niegolewski!... Na Boga!

Przekłeta mać! draniu podła!
— Ostroga koniom, ostroga!

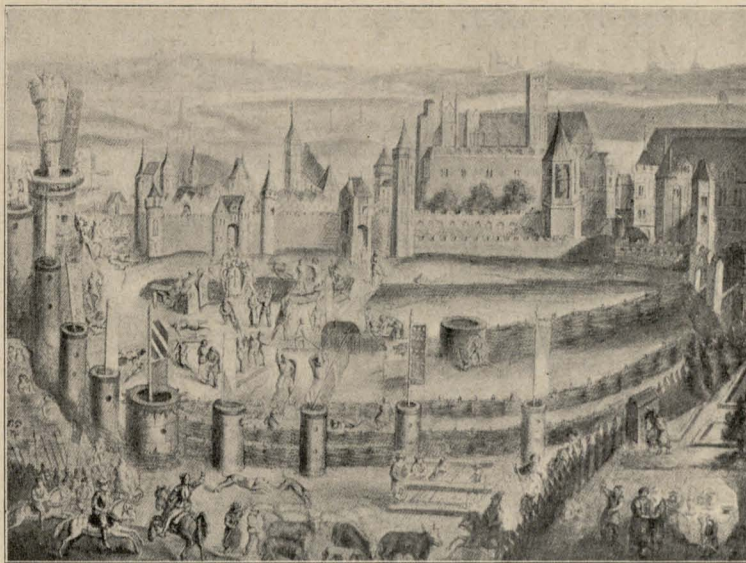
Albo mnie kula tu zwali,
Lub u bram Aranhuezu
Będziemy obozowali,
Albo mnie kula!...

— O, Jezu!

*) Pradziad Adama, Wincenty Krasiński, był dowódcą pułku szwoleżerów gwardyi.



PŁASKORZEŻBA MARMUROWA Z ROKU 1322. BOLONIA—MUSEO CIVICO.



OBLĘŻENIE MALBORG PRZEZ KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA.

Pamiętki polskie na obczyźnie.

„Jedni z was poginiecie głodem, drudzy mieczem, a trzeci się po świecie rozproszycie“...

Dokonano się. Smutne proroctwo Skarżgi spełnione. I rozproszyli się po świecie szerokim, jako liście, od pnia macierzystego oddarte, i są jako obcy wśród cudzoziemców, jako tułaczki między nieprzyjaciółmi, jako wygnañcy wśród ludzi cudzego oblicza.

I niemasz na ziemi całej zakątku, gdzieby serce polskie, biedne serce „latarnika” na samotnej wysepce nie kochało i nie tęskniło...

I nie tylko ludzie. Bo i rzeczy ich, drogie przeszłości pamiętki.

I przyszedł huragan i wstrząsnął w posadach świątnice narodowe — i runęły w pył. A wiatr porwał szczątki i rozniósł po obcych lądach.

Gdzie Szczerbiec Bolesławów, i włócznia świętego Maurycyego, gdzie korony Piastów i Jagiellonów, gdzie władne berła, grożące niegdyś światu? gdzie sztandary zwycięskie, gdzie trofea zdobyczne, na Turkach i Szwedach *forti manu* osiągnięte? gdzie owe *banderia Pruthenorum*, przez Długosza tak troskliwie opisane? gdzie Jagiełły z pod Grunwaldu kolczuga, gdzie Batorego z pod Wielkich Łuk zbroja?

Nie ostały się wobec burzy i skromne ogniska ducha narodowego, cichej jeno kulturalnej pracy poświęcone: niemasz bezcennych zbiorów Biblioteki Ossolińskich, ni bogatego księgozbioru Towarzystwa Przyjaciół Nauk; darmo by szukać Sybilli puławskiej pamiętek.

Na wolnej ziemi Helwetów, nad malowniczym jeziorem jest burg wyniosły, siedziba niegdyś możnych rycerzy, zdzierców i łupieżców spokojnej ludności. Rapperswył mu na imię. Tam Muzeum Narodowe, tam Mekka Polaków, tam wszystko oddycha ojczyzną, wszystko mówi o wielkiej przeszłości.

I choćbyś w tym zamku-skarbcu nie znalazł nikogo z rodaków, choćby oprowadzający cię Szwajcar mową butnych grabieżców z nad Sprewy przemawiał, czujesz, że jesteś u siebie,

że otacza cię powietrze z nad Wisły i Warty, że gra ci w duszy jakaś melodia potężna, wydziera się ze ściśniętego gardła i — spływa łzami.

Ale Rapperswył zgromadził zaledwie cząstkę okrucich przeszłości. Gdzie ich nie znaleźć! gdzie się nie tułają!



Czapka z wyobrażeniem Ducha Św., ofiarowana Janowi III przez papieża Innocentego XI za odsiecz Wiednia.

Tu nasuwa nam się inne wspomnienie. Berlin, stolica rozpanoszonego parweniustwa. Przepych krzykliwy, buta żołdacka, junacka pewność siebie. Pickelhauba — jako symbol wszechwładztwa i dostojności: na ciężkich głowach żołnierzy, twardej łbach policyantów, na posągach suwerenów i feldmarszał-

ków. Oto posępny gmach Zbrojowni (*Zenghaus*), a w nim — wśród tysięcy łupów — polskie zbroje i oręż; o piętro wyżej — pyszna Halla Chwały (*Ruhmeshalle*), kohorta obrazów, odtwarzających zwycięstwa oręża pruskiego, na gruzach naszych nadziei, wśród zgłiszcz naszej mocy i chwały...

Serce ból ścisza — i mimowoli przychodzą na myśl piołunem zaprawne słowa poety:

Bo jestem z kraju smutnego Iłotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów;
Z kraju — gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół — rycerzy — żywych...

I cóż, że „serce skruszy wstyd w każdym Polaku”? upokarzający, bezsilny wstyd...

Nie mamy nawet pojęcia, ile zabytków naszej przeszłości bohaterskiej tuła się po świecie. Do inwentaryzacji naszych pamiętek na obczyźnie jeszcześmy nie przystąpili. A przecież to nie tylko dowody rzeczowe naszego uczestnictwa w wielkiej kulturze Europy, nie tylko lube szczątki ukochanych obrazów przeszłości, ale i ważne przyczynki do dziejów narodu.

Zebrać w jedno wszystkie te nieme świadki epok minionych, nie tylko opisać je sumarycznie, ale i odtworzyć w linii i barwie, by rodacy mieli je społem przed oczyma, jakby cudem przywrócone do dawnej jedności, oto zadanie niełatwe, ale piękne, godne historyka i miłośnika przeszłości.

Wziął je odważnie na barki komitet redakcyjny wydawnictwa n. n. „Pamiętki polskie na obczyźnie”, pod wodzą p. Franciszka Pułaskiego.

Ukazało się już tego wydawnictwa pięć zeszytów, a w nich — prawdziwy skarbiec relikwii narodowych tak dalekich, a zarazem tak blizkich. Z Ermitażu petersburskiego, zbrojowni w Moskwie (*Orużejnaja Palata*), Muzeum Rumiancewa tamże, Cerkwi Kazańskiej i Muzeum Artyleryjskiego w Petersburgu, z królewskiego Muzeum Historycznego w Dreźnie, z zamku w Heidelbergu przyciągnęły do nas tłumem sztandary, działa, zbroje, miecze, szable i czapki królewskie, portrety i sceny dziejowe, świadcząc wymownie o tem, co było...

A duszą Polaka, co przegląda te karty, miotają sprzeczne uczucia: dumy — i wstydu, radości — i żalu.

Ale wreszcie дума i radość zwyciężają, a — „serca się krzepią”.



Antependium srebrne katedry chełmskiej, przedstawiające nabożeństwo po bitwie beresteckiej 1651 roku.

Arcyksiążę Karol Stefan.

Ziemia polska przyciąga. Można narzekać na jej klimat, można zżymać się na przywary jej mieszkańców, a jednak pozostawać na niej lub po chwilowym odjeździe wracać do niej z utęsknieniem, zupełnie jak do Włoch. Iluż to obcych przeklina we Włoszech zdzierstwo i do szczególnej wysokości doprowadzoną zdolność wypompowywania pieniędzy z „forestierów”. Komu nie obrzydzą zupy z pająków nb. morskich i oliwa w każdej potrawie? A jednak któż, wyjeżdżając z Włoch, nie pomyśli sobie: kiedy też wrócę tu jeszcze?

Podobnie dzieje się w Polsce. Pod względem piękności natury, a raczej brzegów morskich, ustępujemy wprawdzie Włochom, ponieważ ich wcale nie mamy. Bogactwami sztuki kamiennej i malowanej zaimponować zbytnio także nie możemy, a mimo to dajemy cudzoziemcowi—kiedy pozna nasz język i obyczaj—dajemy coś, co go przyciąga i na długo do zie-

szedł on w ręce członków rodziny panującej w Austrii. O dawnej świetności Żywca świadczy stary, doskonale zachowany i z pietyzmem utrzymywany, wspaniały pałac renesansowy z XVI wieku, w którym przez półtora roku po złożeniu korony przemieszkiwał Jan Kazimierz. Zwiedzającym przypomina dziś o tem piękna marmurowa tablica z napisem polskim, którą wmurować kazał w ścianę pałacu arcyksiążę Karol Stefan.

Obok starego historycznego pałacu wznosi się dzisiaj nowy bardzo obszerny pałac arcyksiążęcy na tle olbrzymiego i wspaniale utrzymanego parku. Nowy ten pałac jest dzisiaj ogniskiem życia towarzyskiego całej okolicy. Tu sztuka polska znajduje zawsze najserdeczniejsze przyjęcie. Tu lud okoliczny zwraca się zawsze z nadzieją na pomoc, która go nigdy nie zawodzi.

Arcyksiążę żywiecki jest człowiekiem światłym i na piękno wrażliwym. Sam doskonały interpretator Chopina, nie omija żadnej sposobności porozkuszowania się utworami genialnego muzyka na koncertach krakowskich i na dworze swoim chętnie widuje muzyków i wirtuozów polskich. Szczególnie p. Ignacy Friedmann, Krakowianin, cieszy się dużym uznaniem i względami arcyksięcia.

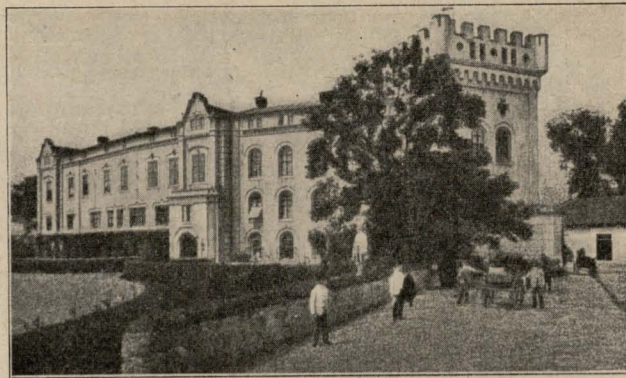
Drugie umiłowanie pana żywieckiego stanowi malarstwo. Utrzymuje on z niem

bardzo żywy kontakt, mnóstwo obrazów polskich do swej wspaniałej galerii zakupuje, a pracowni krakowskich malarzy goszczą go często wśród swoich płócien i zapachu świeżego oleju. Aksentowicz, Fałat, Kossak są niemal stałymi gośćmi arcyksięcia.

Arcyksiążę, który sam nauczył się wcale dobrze po polsku i praw języka polskiego z dużą skrupulatnością przestrzega, zdecydował o tem, że liczne potomstwo jego, szczególnie zaś synowie, nie tylko mówi doskonale po polsku, ale zna też gruntownie historię i literaturę polską. Nauczycielem ich jest stale Polak, któremu mikt nie przeszkadza w hodowaniu w młodocianych sercach uczuć przywiązania i szacunku dla naszej ziemi wraz z całą jej przeszłością.

Pod względem spełniania obowiązków obywatelskich wobec kraju i ludności arcyksięcia prześcignąć trudno. Za życia arcyksięcia Albrechta, który w swoich dobrach galicyjskich prawie nie był, panował w administracji ich duch niemal szowinistycznie niemiecki.

Arcyksiążę Karol Stefan zmienił ten stan rzeczy i, aczkolwiek administracja ta pozostała naturalnie niemiecką, to jednak niema w niej już ekskluzywności narodowościowej, i Polak, skoro ma tylko odpowiednie kwalifikacje, może być pewien, że wakującą posadę w administracji dóbr



Stary zamek w Żywcu.

żywieckich obejmie. Przemysł krajowy ma w arcyksięciu gorącego orędownika. Obecnie np. całą wyprawę dla wychodzącej za mąż arcyksiężniczki Renaty zamówiono w Makowie w tamtejszem stowarzyszeniu hafciarek i koronkarek...

Żywe stosunki towarzysko-sąsiedzkie, które dwór żywiecki utrzymywał od szeregu lat z Lubomirskimi z Rajczy, Branickimi z Suchej i Radziwiłłami z Balic zacieśniają się teraz jeszcze bardziej. Także i związek arcyksięcia i jego rodziny z krajem i narodem umacnia się nowym silnym węzłem. Oto dnia 17 stycznia odbył się w Żywcu ślub najstarszej córki arcyksięcia, Renaty, z ks. Hieronimem Radziwiłłem, synem ks. Dominika z Balic pod Krakowem. Stara historyczna rodzina polska wchodzi tedy po raz pierwszy w związek krówi z rodziną Habsburgów.

W numerze dzisiejszym, prócz wizerunków arcyksięcia i jego małżonki, obojga nowożeńców, a fakże obu zamków żywieckich, starego i nowego, podajemy reprodukcję pięknego obrazu przyjaciela arcyksięcia, Wojciecha Kossaka, przedstawiającego pochod weselny. Portret arcyksięcia pędzla tegoż Kossaka umieścimy w najbliższym numerze *Tygodnika*. □



Arcyksiążę Karol Stefan.



Arcyksiężna Marya Teresa.

mi naszej przywiązuje. Tą siłą tajemniczą jest właśnie stara, rodzima w rozmaitych dziedzinach życia zupełnie oryginalna kultura. U nas kultura ta jest szlachecką, a więc towarzyską przede wszystkim. Najsilniej też oddziaływa ona na cudzoziemca przez obcowanie towarzyskie, przez ten lekki, miły i w ciągu długiego doświadczenia kilkudziesięciu generacji wyrobiony i ustalony typ życia domowego, jaki Polaków tak dodatnio od wszystkich ich sąsiadów odróżnia.

Kultura polska znalazła też przyjaciela i zwolennika w arcyksięciu austriackim Karolu Stefanie, bracie królowej hiszpańskiej Krystyny, który, odziedziczywszy po arcyksięciu Albercie olbrzymie dobra żywieckie, osiadł w nich, w bardzo krótkim czasie zdobywając szczerą sympatię społeczeństwa polskiego i gorące przywiązanie u ludu całej Żywiecczyzny.

Żywiec, położony w przepięknej okolicy podgórskiej, na południowy zachód od Krakowa, był oddawna wielkopańską siedzibą. Ongiś dzierżyli go Komorowscy, później Wielopolscy, aż wreszcie zmienną koleją losów prze-



Hieronim ks. Radziwiłł.



Arcyksiężniczka Renata.

KORNEL MAKUSZYŃSKI:

PARADOKS.

Z nowej seryi poezyi.

Ze stągwi lejąc w gardła strugi win obficie,
Rozmyślajmy o losów dziwnie śmiesznej zmianie:
—„Jedną wizję wspaniałą ma śmierć: długie życie,
„A życie jedną piękną wizję ma: skonanie”.
O, bracie filozofie, rozpustny histryonie!
Rozumniej niżli życie weźmy sobie rolę:
Ty płacz nad tymi, którzy ręce krwawią w skonie,
Ja zaś z duszą zatańczę mą—w żyjących kole.
Trzeba bowiem, by każdy z nas był litościwy
I wizye wiódł na drogi, kędy rozum chodzi,
Trzeba cieszyć się z owym, co się rodzi żywy,
Płakać z tym, co odjeżdża w charonowej łodzi.
Rzecz dziwna! Ktoś z nas bluźni ciężkim bardzo
grzechem,
Albo nam zdrowie myśli chytro wino mami:
Wszakże ty pośród trumien płaszsz z głośnym
śmiechem,
A ja pośrodku żywych płaczę krwią i łzami...

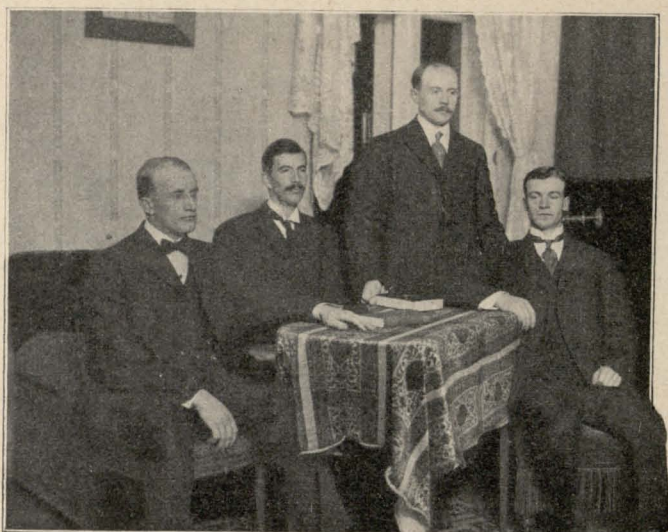


Nowy zamek w Żywcu.



Malował WOJCIECH KOSSAK

KOROWÓD WESELNY W ZYWCU



DELEGACI AMERYKAŃSCY W WARSZAWIE.

Goście z za morza.

...W dużym, ładnie umeblowanym pokoju jednego z większych pensjonatów warszawskich. Czterech dzielnych, wesołych młodych ludzi. Porozumiewamy się po niemiecku, a częściowo po polsku, bo naszym językiem wcale już nieźle władają.

Trzeba ich przedstawić czytelnikowi. Są to pp. Edward E. Bohner, John H. Dague Jr., Clarence D. Blachley, Harlow A. Mc. Connaughey — wszyscy z Ameryki Północnej, ale z różnych stanów, Pensylwanii, Colorado, Ohio. Łączy ich wspólne należenie do sekcji pensylwańskiej stowarzyszenia młodzieży chrześcijańskiej, która ich delegowała do Europy.

Posłuchajmy, co mówi o celach stowarzyszenia i celach podróży p. Bohner.

— Stowarzyszenie nasze powstało przed laty sześćdziesięciu w Anglii i rozszerzyło się olbrzymio na wszystkie ziemie kultury anglo-saskiej. Ameryka pokryta jest sekcjami. W samej Pensylwanii mamy 70 sekcji w szkołach, a 208 w uniwersytetach, fabrykach i t. d. Najwybitniejsi przemysłowcy, najznakomitsi adwokaci i lekarze miejscowi należą do nas i hojną dłoń popierają nasze cele.

— Jakież są te cele?

— Przedewszystkiem kulturalne i humanitarne. Chodzi o to, aby młodzieży z różnych sfer, która czas spędza w zajęciu i w szynkach, bo niema domu własnego—trudno nazwać domem nędzny pokój kawalerski—stworzyć ten *home*, stworzyć miejsce, gdzieby się godziwie zabawiać i czegoś nauczyć mogli. Hale gimnastyczne, odczyty, szkoły wieczorne, lokale własne, oto środki naszego działania.

...W związku z tym celem jest podróż nasza. Widzimy w naszym stanie setki tysięcy emigrantów, którzy poza pracą zawodową tułają się po miastach, bez znajomości języka, obyczajów, praw miejscowych. Chcemy ich przyciągnąć i nauczyć. Chcemy z nich stworzyć sobie silne oparcie, dalszych propagatorów naszej idei. Ale, chcąc to uczynić, musimy znać ich języki, a przedewszystkiem poznać warunki ich życia tu, na miejscu... Oto cel naszej podróży do Europy.

— Więc panowie nie tylko u nas będą?

— O, nie! Wyjechaliśmy z Ameryki 1 lipca r. z. do Rotterdamu. Stamtąd przez Amsterdam, Kolonię dotarliśmy do Pragi, gdzie został jeden z nas, V. C. Hart Jr., aby poznać stosunki czeskie. Potem przez Wiedeń do Katowic, gdzie jest nasz punkt centralny do badań polskich. Robiliśmy stamtąd wycieczki do Krakowa, Oświęcimia, a od dziesięciu dni jesteśmy w Warszawie. Jutro wyjeżdżamy. 1-go lutego będziemy w Rzymie, gdzie zabawimy cztery miesiące. W czerwcu jedziemy na ziemie węgierskie do Słowaków, a w lipcu rozdzielamy się: część jedzie na wieś polską do Galicji, część na wieś do Królestwa. Tę część podróży odbędziemy głównie na rowerach. Pragniemy przedewszystkiem poznać tych włościan, którzy już byli w Ameryce i liczymy na nich, jako

na najlepszych informatorów. Polacy obchodzą nas szczególnie, mamy ich bowiem w Pensylwanii około pół miliona. Życzeniem naszym, jako Amerykanów, jest, aby się doskonalili u nas i powracali tu lepsi, o ile wracać mają. Jako członkowie stowarzyszenia, pragniemy, aby to się stawało za naszym wpływem...

Goście nasi powracają do Ameryki we wrześniu.

— Dużo panowie zobaczą...—mówię.

— Za mało. Ale mamy czas i środki ograniczone...

Ciekaw byłem, jakie wrażenie zrobiła na nich Europa wogóle. Jako Europejczyk, byłem zawiedziony. Odpowiedzieli mi grzecznie, że dobre, ale bez entuzjazmu. Potem przeszliśmy do rzeczy polskich.

— Sosnowice są obrzydliwe —

mówili. Zupełnie im się nie dziwiłem.

— Za to Warszawa bardzo nam się podobała. Poznaliśmy najlepszych ludzi w Polsce. Mamy nadzieję, że zrozumieli nasze cele i poprą nasze usiłowania...

— A jakże z językiem?

— Ciężko... Trudna jest wasza mowa. Bierzemy lekcje w Katowicach od p. Tosio, brata profesora z Warszawy. Co to za mili i sympatyczni ludzie...

Zwiedzali też kopalnie węgla na Śląsku i fabryki łódzkie. Mają wrażenie, że robotnik jest tu gorzej płatny, ale też mniej pracuje, niż w Ameryce. I zwrócili jeszcze uwagę na to, że tu więcej dbają o robotnika, o zaspokojenie jego potrzeb, o środki ostrożności, niż w Ameryce. Wydawać taki sąd o Łodzi i o Zagłębiu może oczywiście tylko obywatel kraju, w którym zasada *laissez faire* yzmu ekonomicznego doprowadzona jest do ostatecznych granic. Europejczyk z Zachodu miałby o tem zdanie inne.

Jedno pytanie cisnęło się jeszcze na usta.

— Czy stowarzyszenie wasze jest konfesyjne?

— Nie...—roześmieli się.—Każdy z nas czterech należy do innego wyznania. Jest tylko chrześcijańskie. A oto nasze dewizy...

I pokazali mi znaczek stowarzyszenia, koło, a w kole trójkąt z napisami na trzech bokach: ciało, duch i myśl.

— Chcemy kształcić te trzy podstawy rozwoju ludzkości.

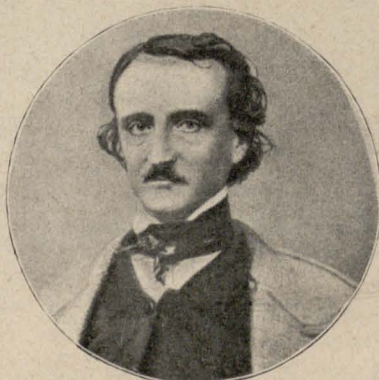
Rozmowa była właściwie zakończona. Prosilili mnie jeszcze, aby wspomnieć, że szef ich misji, dr Edward A. Steiner, profesor uniwersytetu w Iowa, był z nimi, ale obecnie powrócił już do Ameryki. Jako dwudziestoletni chłopiec, emigrował do Ameryki z Austrii, potem kilkakrotnie odbywał podróż tam i z powrotem z emigrantami, jest doskonałym znawcą spraw emigracyjnych i autorem książki *On the trail of the immigrant* (Na szlaku imigrantów), oraz monografii o Tolstoju.

Brzmia pożegnania w różnych językach:

— Szczęśliwej podróży! *God bye!*

— Do widzenia latem...

Wrażenia z letniej podróży tych Amerykanów po wsi polskiej będą zapewne najbardziej zajmujące.



EDGAR ALLAN POE.

EDGAR ALLAN POE:

Z nietłómaczonych poezji.

W setną rocznicę urodzin poety.

ZANTE.

Uroczą wyspo, co najśłodsze miano
Od najczarowniejszego bierzesz kwieciami,
Ach! iluż wspomnień jasnością różaną
Twój widok poi, jakby z pozaświeciami,
Ilu chwil szczęścia zagasłego chwały,
Ilu umarłych nadziei promieni,
Ilu snów o dziewczęciu, co jaśniały.
— *Już niema ich*—na twoich wzgórz zieleni.
— *Już niema*—wszystko zmienia, wnika wszędzie
Magiczne słowo... czarów twych ponęty
Już niema dla mnie! I odtąd mi będzie
Twój kwieciami bramowany brzeg—przeklęty!
Hyjacyntów wyspo! Purpurowe Zante!
Isola d'Oro! Fior di Levante!

DO HELENY.

Heleno! dla mnie urok twój
Jest, jak te barki, co przed laty
Koły ciężki drogi znój,
Cicho wędrowca w swoje świąty
Niosąc przez wonne mórz bławaty.

Śród mórz bez końca błądziłbym,
Aleś mnie pieśnią swą—Najady,
Hyjacyntowym włosem swym
Pod sławy wwidła strop—Hellady,
Oraz w świątynię mocy—Rzym.

W niszy, jak bóstwo stoisz ciche...
Jak w marmur, widzę cię zakłęta,
Z lampą z agatu—zażęgnięta—
Ach—ty z tych krain jesteś, Psyche,
Które są Ziemią Świętą!

EULALIA.

Błędziłem sam jedynie,

W bólów i łez krainie...

Mój duch był, jak wód nieruchomych łono,
Dopóki piękna i słodka Eulalia
Nie została rumieniącą się mą narzeczoną,
Dopóki złotowłosa, młoda Eulalia
Nie została uśmiechniętą moją narzeczoną.

Ach! nie tak migocą

Złote gwiazdy nocą,

Jak te blaski, które jasny wzrok jej da mi—

I nie tak drzew liście

Płoną uroczyscie,

Kiedy je perłowo-srebrny blask miesięczny plami...

Nie równają się ze skromnej Eulalii

Nieporównanymi kędziorami...

Z jasnookiej, powiewnej Eulalii

Niedbałymi i kornymi kędziorami.

Bólu ni zwątpienia burz

Teraz—ach—nie zaznam już...

Z jej się ducha westchnienie dobywa głęboko

I przez wszystki moje dni

Jasno, stale błyszczący mi

Astarte na błękiecie, za chmurek powłoką...

Podczas gdy zawsze na jej drogiej Eulalii

Spoczywa macierzyńskie jej oko...

Podczas gdy zawsze na jej młodej Eulalii

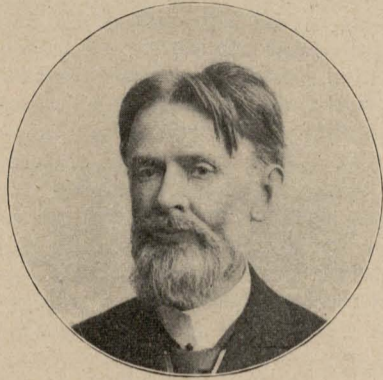
Spoczywa fijołkowe je oko.

Przełożył z angielsk. WŁ. NAWROCKI.

ADAM BEŁCIKOWSKI.

W piątek ubiegłego tygodnia odprowadził Kraków jednego z wybitniejszych swych synów—Adama Bełcikowskiego, na miejsce wiecznego spoczynku po długim, znojem, a w trwałe owoce obfitem życiu!

Urodzony w Krakowie w roku 1839, tu wychowany i wykształcony, tu też spędził Bełcikowski cały prawie swój pracowity żywot, trawiąc go nad księgami w Bibliotece Jagiellońskiej i nad niestrudzonym piórem.



Adam Bełcikowski.

Na niwie pisarskiej stanął on równocześnie z całą generacją pisarzy, którzy, jak An-

czyc, Szujski, Bałucki, Lubowski, Gadomski, Turski i wielu innych, wytwarzali w Krakowie atmosferę wysokiej kultury. Były to smutne, popowstaniowe czasy. Resztki romantyzmu zmagaly się jeszcze z rosnącym wpływem pozytywizmu. A dwoistość ta prądów, nurtujących społeczeństwo, odbiła się na wrażliwej i głębokiej naturze Bełcikowskiego bardzo wyraźnie, stwarzając zeń w literaturze polskiej typową postać przejściową. Gorący jeszcze sercem, przepełnionym miłością dla dobra wszelkiego i piękna, z fantazją, rwącą w górne sfery marzeń, Bełcikowski miał już umysł trzeźwy, jasny i zdolny do tej delikatnej, a jednak czystej obiektywności w patrzeniu i badaniu, której tyle dowodów złożył w swoich pracach krytycznych.

Wziąwszy święty chrzest poezji w kilku poematach, Bełcikowski powziął postanowienie poświęcenia się nauce przedewszystkiem. W r. 1863 wypromowawszy się na doktora filozofii, napisał rozprawę o Reju, która posłużyła mu za podstawę do habilitacji na docenta literatury polskiej w warszawskiej Szkole Głównej. Wykłady swoje rozpoczął on w październiku roku 1866 i prowadził je przez rok, poczem, straciwszy nadzieję na uzyskanie katedry, wrócił do rodzinnego Krakowa, gdzie najpierw jako nauczyciel w jednym z gimnazjów tutejszych, a potem jako urzędnik w Bibliotece Jagiellońskiej, pracował niezmiernie, znowu dając folę swej potrzebie tworzenia. Dojrzały i w długich, sumiennych studiach zrównoważony jego umysł pociągała poezja dramatyczna. Jej też poświęcił on najlepsze swe siły, stwarzając szereg dzieł, z których tylko niektóre, jak: „Mieczysław II”, „Bolesław Śmiały”, „Pan Pasek” i grywana dotąd „Przekupka warszawska”, przyniosły mu dobrze zasłużone uznanie.

Obok twórczości dramatycznej, której plan stanowi pięć sporych tomów wydania zbiorowego, nie zaniechał Bełcikowski swych badań historyczno-krytycznych.

Literatura wieku XVII znalazła w nim zamiłowanego badacza, który też rozświetlił ją kilkoma doskonałymi pracami. Rozrzucone po najrozmaitszych pismach studia jego literackie wydano w roku 1887 w Warszawie, w jednym dużym tomie, p. t. „Ze studiów nad literaturą polską”.

W piętnaście lat potem uczeni i literaci krakowscy, zgrupowani w Kole literacko-artystycznym, uczcili czterdziestolecie działalności pisarskiej Bełcikowskiego obchodem, który znalazł głośne echo w całym społeczeństwie polskim.

Po tym jubileuszu Bełcikowski usunął się w zacisze swojej pracowni przy ulicy Karmelickiej, gdzie też 12 b. m. dokonał swego szlachetnego żywota.

Zasługi jego wyniosły go ponad zaściankowe względy i względziki, tak że nad grobem jego zeszli się wszyscy, umiejący ocenić charakter, serce i umysł, które, w przepięknej harmonii

w Bełcikowskim złączone, zdobyły mu nieposlednią kartę w historii rozwoju twórczej myśli polskiej i kultury polskiej. S.

SAMUEL HIRSZENBERG.

Ze śmiercią tak przedwczesną i tak niespodzianą Samuela Hirszenberga ubyla współczesnej naszej sztuce silna, samodzielna indywidualność, ubył prawdziwy, szczerzy w swych ideałach artysta.

Hirszenberg miejscem urodzenia, otoczeniem artystycznym, które go urobiło, związkami najbliższymi należy do malarstwa polskiego, jak należał do niego Gottlieb, charakter jednak jego całej twórczości nosi znamienne cechy rasy, z której pochodził, kreacje jego przepełnione były duchem judaizmu, jak jego serce pełne było miłości narodu, tak tragicznymi miotanego kolejami dziejowami.

W całokształcie malarstwa polskiego grupa malarzy żydowskich zajmuje swe własne, niezależne miejsce, wiąże się ona z niem wspólnie urabiającą się kulturą artystyczną, tem niemniej pierwiastek egzotyczny silnie zaznacza się w twórczości „synów Izraela”, nadając im właściwe piętno. W grupie tej Hirszenberg był przodownikiem.

Całą karierę malarską Hirszenberg poświęcił drogiej sercu artysty idei uplastycznienia niedoli żydowskiej. Czuli on głęboko tę niedolę i umiał w dziełach swych stan duszy współczesnej swojego plemienia wypowiadać. Dzieła jego to głębokie swym smutkiem wewnętrznym akordy, w których czuć drgającą niemą rozpaczą duszę, która cierpi i pragnie, która bodaj nie ma już nadziei. Dość wziąć takiego „Żyda tułacza”, ów przepożęty w plastycznym swym wyrazie symbol, lub owe ściskające wprost serce tłumy „Emigrantów”, sunących archaicznym jakimś korowodem w dal śnieżną.



Samuel Hirszenberg.

Dzieł takich, w których znać, że malarz część swej istoty, strzępy zakrwawionego serca rzucił w swą twórczość, w pośmiertnej puściźnie Hirszenberga znajdzie się niemało. Był on wielkim artystą bezgraniczną szczerością, z jaką wypowiadał całą swą wewnętrzną istotę. Obrazy jego pozostaną, jako najświetniejsze w swej prawdzie ilustracje nastroju współczesnych Żydów, tęskniących za przedwiekową przeszłością, niepewnych przyszłości—tułaczów.

W numerze dzisiejszym *Tygodnika* dajemy kopie z dwóch obrazów Hirszenberga, należących do ostatnich, jakie namalował w Krakowie, przed wyjazdem do Jerozolimy dla objęcia zaszczytnego stanowiska dyrektora tamtejszej akademii.

„Dzień świąteczny w Ghetto” to kartka, wyrwana wprost z życia. Zwykłość tematu opromienienia właściwa Hirszenbergowi powaga psychologicznego napięcia.

Drugi utwór, pod tytułem „Akord”, daje nam stylizowane studium dziewczęcia, typowo rasowego, rzecz, pojęta dekoracyjnie i przeprowadzona z wielką finezyą artystyczną.

Wielka ilość obrazów Hirszenberga znajduje się w kraju, przeważnie w Łodzi, sądzimy, że myśl, podjętą w swoim czasie przez Komitet Towarzystwa Zachęty, przy dobrej woli licznych admiratorów zmarłego artysty, łatwo dałoby się uskutecznić. Należałoby koniecznie oddać ten hołd pośmiertny malarzowi, który twórczością swą zajął tak wybitne i tak samodzielne stanowisko w malarstwie polskim.

HENRYK PIĄTKOWSKI

Maski, maskary i reduty.

Przetoczyły się wieki, skończyły się cywilizacje starożytne, a ich puścizna—maska—została. Siegająca prastarych uroczystości greckich i rzymskich przy winobranii, mająca za sobą najświetniejsze tryumfy tragedii klasycznej, później pantomimy i maskary średniowiecza, włoskie *comédie dell'arte* z nieodzownym *Pulcinello i Dottore*, francuskie *fêtes de fous* i niemieckie *Narrenfesty*, doczekała się wreszcie prawdziwych honorów na dworze francuskim za Katarzyny de Medici, którą historia uważa za wynalazczynią balów maskowych w znaczeniu nowoczesnym. Wesołą tę zabawę przejął natychmiast dwór angielski za czasów Henryka VIII-go, głusząc nią zgniliznę własną i jęk licznych podówczas ofiar przemocy i wielmożającej się przy niej intrygi. W końcu XVIII w. maskarady były już wszędzie—na dworach: niemieckim, duńskim, szwedzkim, przechodząc zwolna w obyczaj zapustny wszystkich warstw społecznych i przekształcając się stopniowo, za wpływem Paryża, w bachanalie wesołości, nie tamowanej niczem, a przez to występującej nieraz z brzegów dobrego tonu i... przyzwoitości.

Do Polski przyszły *maskary* z kulturą włoską. Pierwsza o nich wzmianka dotyczy słynnego wesela Kieżgała za panowania Zygmunta Augusta. Widowiska te polegały jednak raczej na przebieraniu się alegorycznym, niż na maskowaniu oblicza. Były wspaniałe, kosztowne, zdumiewające inwencją i smakiem artystycznym. Dość przytoczyć maskary z wesela Jana Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną, lub sławne igrzyska podczas wesela Zygmunta III. Za Władysława IV, ani tem bardziej za Jana Kazimierza, kiedy bunty kozackie i najazd Szwedów odwróciły uwagę w inną stronę, nie było już mowy o maskarach; zniknęły one na długo z widowni życia dworskiego. Wskrzesicielem ich stał się dopiero Stanisław August, upamiętniwszy je świetnym *karuzelem* przed pomnikiem Jana Sobieskiego w Łazienkach.

Za czasów stanisławowskich weszły też w użycie naprzód w Warszawie, a potem w całym kraju, *maskarady*, czyli *reduty*, wzorowane na francuskich balach kostiumowych, gdzie nie tyle chodziło o zgrabną intrygę, ile o swawolę w przebraniu.

W ciągu znacznej części w. XIX-go reduty warszawskie stanowiły oś zabaw karnawałowych. Wrzały weselem, humorem, dowcipem i werwą, dopóki brały w nich udział wykwintniejsze koła towarzyskie. Z chwilą jednak, gdy to ustało, humor zniknął, dowcip się strywializował, werwa uleciała.

Zwłaszcza maskarady ostatnich lat dwudziestu nie mogły przywabić nikogo. Jedna tylko *tombola* cieszyła się większym powodzeniem i gromadziła liczniejszy zastęp publiczności. Poza tem było nudno i pusto.

Dopiero karnawał bieżący postawił sobie za ambicję wskrzeszenie dawnych, dobrych tradycji.

Towarzystwo wpisów szkolnych i Kasa literacka zaprosiły Warszawę do sal redutowych, obiecując jej zabawę wesołą, żart nieszkodliwy i humor, zaprawny subtelną intrygą.

Za nami jest już pierwsza reduta, która powiodła się znakomicie, przed nami—druga—tem ciekawsza, że weźmie w niej udział cały nasz świat literacki, z którym Warszawianki mają podobno niejeden rachunek do wyrównania...

Zobaczymy, jaki będzie ich sąd z *pod masek*... o tych, co mówią im prawdę w druku *bez masek*...

Z. D.



Z pod pióra.

GUSTAW DANIŁOWSKI.

Od dłuższego czasu utalentowany autor „Jaskółki” obrał sobie Zakopane za siedzibę. Spieszę odwiedzić go w jedno ze świąt Bożego Narodzenia, zapytuję o przyszłe zamiary literackie.

— Pracuję nad powieścią, która będzie odmienna zgoła od dotychczasowych moich utworów. Obraz z życia Chrystusa; tytuł tymczasowy (może go potem zmienię) — „Magdalena z Betanii”. Motyw zasadniczy — problem zdrady Judasza.

— A więc coś renowawskiego?

— Niezupełnie. Nie mam na myśli żadnej propagandy. Patrzę na rzeczy z artystycznego punktu widzenia. A ewangelie i apokryfy dają takie mnóstwo materiału... Zachodzi pewna trudność w odtworzeniu tła miejscowego, np. ubiorów, mieszkań i t. p., bo wzmianki o tem w ewangeljach są bardzo ogólnikowe.

— Czy pański Judasz będzie symbolem, jak u Andrejewa?

— Nie. Szukam przyczyn głębszych, psychologicznych. Zastanowiła mnie legenda o 12 srebrnikach judaszowych. Cóż to za nędzna zapłata — za głowę ukochanego Mistrza! W tem musi kryć się coś innego. Przedewszystkiem motyw polityczny. Chrystus nie był Mesjaszem, jakiego oczekiwali Żydzi, głosił, że królestwo jego nie z tego świata, nie był potężnym królem Izraela, pogromcą wrogów, wybawicielem narodu od jarzma rzymskiego. Nadzieje patriotyczne Judasza nie ziściły się... I oto wydaje Nauczyciela wrogom na śmierć meczeską. To jeden motyw.

— A drugi — mówił dalej autor „Na wyspie” — osobistej natury. Judasz zapalał ku Magdalenie płomienną miłością dziecięcia Wschodu. Ale ona nim gardzi, bo pokochała czystym, uszlachetniającym uczuciem Syna cieśli, dusza jej odradza się, wznosi, wypięknia. To początek dramatu, którego ostatni akt rozegrał się w ogrójcu oliwnym.

— Czy odrzuca pan pierwiastek cudowności?

— Niekoniecznie. Nie piszę broszury agitacyjnej, ale dzieło sztuki, i artystyczne cele mam jedynie na widoku.

Zapytuje, czy nie zechciałby udzielić czego ze swej bogatej teki *Tygodnikowi Ilustrowanemu*.

— I owszem. Oto legenda o „Gołębiach świętego Dziecięcia”, niechaj służy za wzór, jak traktuje przedmioty biblijne.

Serdeczne podziękowanie w imieniu prenumeratorów *Tygodnika* zakończyło naszą rozmowę.

GAMMA.

Osobiste.

Redaktor naszego pisma, dr Józef Wolff, wyjechał na parę tygodni zagranicę.

Od administracji

„*Tygodnika Ilustrowanego*”.

Wobec zwiększonego napływu prenumeratorów *Tygodnika* na r. b. 1, co za tem idzie, nadspodziewanie znacznej ilości zapotrzebowań na 12 TOMÓW POWIEŚCIOWYCH, ofiarowanych przez nas za dopłatą rub. 2, zastrzegamy sobie zamianę pewnych brakujących tomów innymi, nie mniejszej wartości literackiej.

PORTRETY NA DOBIE.



Władysław Floryński, śpiewak i reżyser opery lwowskiej, w 25-lecie pracy scenicznej.



Leon Idzikowski.



Helena Marcello-Palińska, w 25-lecie pracy na scenie Teatru Rozmaitości.

Jubileusz księgarni.

Rzadka uroczystość — na kresach. Pół wieku istnienia księgarni polskiej, prawdziwego postępu naszej kultury. Księgarnia Leona Idzikowskiego w Kijowie założona została w roku 1859; założyciel jej był początkowo przedstawicielem znanych w połowie ubiegłego stulecia księgarni Bergera w Warszawie i Glücksberga w Wilnie, poczem dopiero stanął o własnych siłach. W cią-

gu pierwszych lat sześciu istnienia młody księgarz wydaje przeszło sto dzieł oryginalnych polskich, a w tej liczbie „Miód kasztelański”, „Jasełka” i „Kopciuszka” J. I. Kraszewskiego, oraz dzieła A. Pluga. Andrzejewskiego, Grozy, prof. Góreckiego, Michała Grabowskiego, Tadeusza Steckiego, prałata Dobzewicza, Ohryzki Leonarda Sowińskiego, Kowalskiego (Markinkowskiego), Nowosielskiego...

Przedwczesna śmierć jego, zmiana warunków życia polskiego po powstaniu tamże działalność wydawnictwa książek. Natomiast wdowa, potem syn, dzisiejszy kierownik, p. Władysław Idzikowski, zakładają przy księgarni czytelnię, licząc, dziś kilkadziesiąt tysięcy tomów, i rozpoczynają wydawnictwo nut, których katalog liczy obecnie 2,400 numerów.

Jeżeli się zważy, w jak trudnych warunkach, przy jakim przeciwdziałaniu wszystkich okoliczności rozwijało działalność to ognisko życia polskiego na kresach, to zrozumiałymi będą te wyrazy uznania, że życzenia dalszego pomyślnego rozwoju, które z różnych stron ziem polskich ślą księgarni Idzikowskiego w dniu jubileuszu. Niechże w tej liczbie nie zbraknie i naszych.

PRZEGLĄD PRASY.

W naszej tak ubogiej literaturze ekonomicznej ważne jest współrzędne istnienie obok siebie dwójki peryodycznych wydawnictw ekonomicznych. Jedno z nich, poważny kwartalnik *Ekonomista*, poświęcony jest rozważaniu zagadnień teoretycznych, ekonomiczno - społecznych, drugie, młody i żywy miesięcznik *Patriotyzm Polski*, przemysłowy, handlowy i fabryczny, jak sam tytuł wskazuje, ma na widoku osiągnięcie celów praktycznych, bezpośrednich, wzmocnienia ekonomicznego Królestwa, a w imporcie wyzwolenia się z wpływów niemieckich

W drugim z kolei zeszytzie zdąża do tego celu, podając cały szereg wiadomości handlowych z Ameryki, Anglii, Austrii, krajów bałkańskich, nawet Chin, zamieszczając obszerne dane o przemyśle polskim, prowadząc wreszcie dalej rozpoczętą w pierwszym numerze ankietę w sprawach, patriotyzmu ekonomicznego do tyczących. Znajdujemy tu 49 odpowiedzi, obracających się głównie około potrzeb oświaty, zrzeszeń handlowych i przemysłowych, zużytkowania w przemyśle leżących

na niskich procentach kapitałów i t. p. W części ogólnej zeszytu znany pisarz ekonomiczny, p. H. Wiercieński, poświęca szereg trafnych uwag brakowi świadomości narodowej w naszej polityce ekonomicznej:

„Brak ten — czytamy — sprawiał też, że przez całe lat dziesiątki pozwalaliśmy wodzić się na pasku finansyery i że w naszych stosunkach przemysłowo - handlowych unoszą się wciąż niezdrowe opary wyzyskującego wszelką pracę i wszelką energię kapitalizmu, który dotąd nie jest u nas, tak jak w Anglii i Francji, dostatecznie unarodowiony, ani nie posiada dostatecznej dozy obywatelskiego patriotyzmu”.

Ostatni zeszyt *Ekonomisty* posiada, jak zwykle, treść bardzo obfitą i zajmującą, dotyczącą spraw zarówno zagranicznych, jak i krajowych, obszerny dział sprawozdawczy i kronikarski. Ze względu na nieustanne zatargi ekonomiczne wśród szweców, szczególną wagę posiada oparty na źródłowych i sumiennie zebranych danych artykuł p. Jana St. Lewińskiego „Szwecy warszawscy”.

Bardzo trafne i ładne uwagi poświęca redaktor *Ekonomisty*, p. St. Dziewulski, pamięci zmarłego niedawno uczonego, prof. Witolda Załęskiego.

„Zajmował on odpowiedzialną i poważną placówkę narodową — czytamy w zakończeniu artykułu. — Wytrwał do końca na swem ciężkim stanowisku, poważne zaś rezultaty jego pracy, któremi słusznie mógł się chlubić i które ku powszechnemu pożytkowi przekazał społeczeństwu w spuściźnie, były jedynie następstwem jego wielkiej troski o nasze sprawy i wypływały z poczucia wielkiego względem społeczeństwa obowiązków”.

ZMARLI.

KAROL KOZMIŃSKI, b. radca Dyrekcji Główniej Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, prezes Zarządu Warszawskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, zmarł dnia 16 b. m., w podeszłym wieku lat 91. Zmarły był jednym z ostatnich wycho-

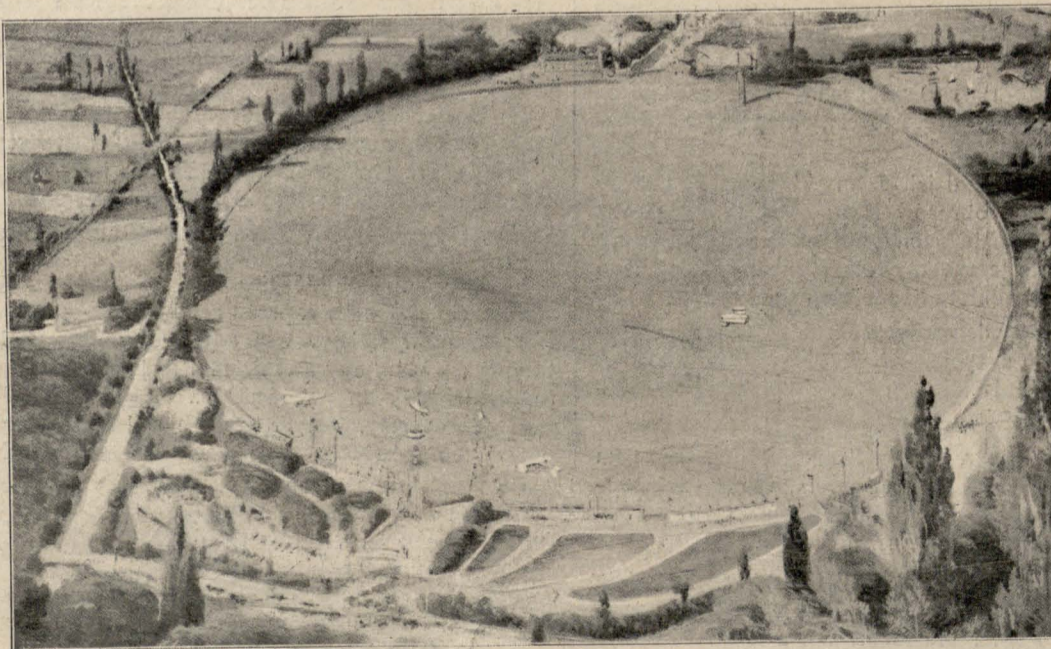


wańców konwiktu pijarskiego w Piotrkowie, poczem poświęcił się gospodarce w pow. opoczyńskim, między r. 1858 a 1862 był korespondentem Towarzystwa Rolniczego, w którego pracach obywatelskich brał czynny i gorliwy udział. Świadek i uczestnik wszystkich poczynań narodowych od r. 1830, przez całe swe długie życie pozostał wierny ideałom narodowym.

STEFANIA TOLWIŃSKA, pochodziła z rodziny pedagogów: ojciec był długoletnim nauczycielem szkół średnich, brat, Gabriel, znany w kołach literackich, jako autor licznych artykułów w dziedzinie muzyki i astronomii, był dyrektorem szkoły żeńskiego, wreszcie dwie siostry razem ze zmar-



łą utrzymywały jeden z najwybitniejszych zakładów naukowych żeńskich w Warszawie. Duszą tego zakładu była s. p. Stefania, ur. w roku 1866 w Maryampolu. Usiłowania jej pedagogiczne zostały uwieńczone powodzeniem; zakład cieszył się zaufaniem rodziców, a na wystawie higienicznej w Lublinie otrzymała dyplom uznania za higienę gmachu i ogólny kierunek szkoły. Przedwczesna, nagła śmierć, spowodowana wadą serca, przecięła w sile wieku pasmo dni szanownych i pożytecznych.



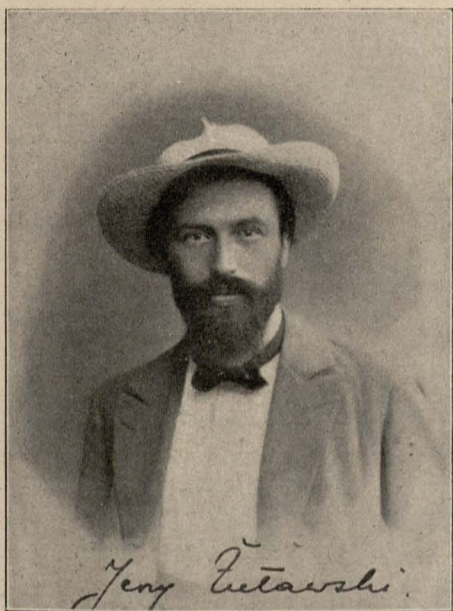
POLE DO LATANIA. Prawie u wrót Paryża, na równinie, która rozciąga się między Juvisy i Savigny, towarzystwo pierierania żeglugi powietrznej założyło pierwszy na świecie „aerodrom”. To pole do latania, nazwane „Port-Aviation”, jest nieco większe, niż hipodrom w Longchamp. Tor kształtu eliptycznego, ma 3 km. obwodu, a trybuny mogą pomieścić do siedmiu tysięcy osób. Naokoło toru umieszczono cały szereg budynków, potrzebnych do żeglugi powietrznej i do zaspokojenia wymagań sportowców, więc szopy dla aeroplanów, warsztaty reparacyjne, restauracje, pocztę i telegraf, wieżę z przyrządami do mierzenia szybkości i ustalania kierunku wiatru i t. d. Francja, która zajmuje już pierwsze miejsce w przemyśle automobilowym, kroczy na czele ludów także i w najnowszej dziedzinie żeglugi powietrznej.

PROFILE LITERACKIE.

JERZY ŻUŁAWSKI.

Poetą myśli nazwalibyśmy Jerzego Żuławskiego. Muza jego to nie wesoła, śpiewna Erato, co fletniom pastuszym przygrywa do wtóru, ale nad księgą dziejów ludzkości głęboko zadumana Klio lub Polyhymnia, wznosząca szczytne pienia, godne „Boga i natury”. Wykształcenie filozoficzne, jakie odebrał za czasów uniwersyteckich, zwłaszcza studia nad Spinozą, którym oddawał się z zamiłowaniem, nie tylko jako student w Bernie szwajcarskim (rozprawa doktorska: *Das Problem der Kausalität bei Spinoza*, 1899), ale i później, gdy pisał „Prolegomena” (1902) i monografię: „Benedykt Spinoza, człowiek i dzieło” (1903), refleksyjny charakter umysłowości—wszystko to padło niestartem piętnem na twórczość poetycką Żuławskiego.

I jeszcze poetą rozdźwięku możnaby nazwać Żuławskiego; w jego duszy zmagają się sprzeczne myśli i dążenia, uczucia i porywy. Gorące pragnienie mocnych, niewzruszonych nakazów etycznych—i niewiara; namiętne pożą-



danie wielkości, potęgi—i niemocy własnej poczucie; żywiołowa potrzeba wypowiedzenia myśli, skłębionych pod czaszką—i smutna świadomość, że... nie warto marzyć, bo „dzisiaj liryczną już pieśnią nie wzruszysz serca, w duszy nie wzniesiesz płomienia”; pogarda ludzi—i umiłowanie człowieka, biednej Psychy ludzkiej, co idzie w świat, tęskna, wolności żądna, idzie szukać Erosa: oto *leitmotiw*’y najważniejsze poezji autora „Na srebrnym globie”.

Przez walkę ku szczytom—oto najogólniejszy schemat myśli poetyckiej autora „Erosa i Psychy”. I choć przyjdą chwile zwątpienia i rozterki („Pytam ciągle”..., „Z czarnej chwili”), wnet wznosi skrzydła ku szczytom, na których króluje niezmierzona Moc, i Prawda, i Piękno...

A przede wszystkim — Moc. Bo myśli jego to „gwiazdy i płomienie”, bo marzy o „burzach” i „gromach”, bo obrazy potęgi ciała i ducha najchętniej spływają z jego pióra (np. „Mojżesz”), bo Bóg w wyobraźni poety-panteisty nie jest, jak i u Słowackiego, „robaków bogiem i tego stworzenia, co pełza”, lecz ukazuje groźną twarz Jehowy-Mściciela („Introibo”), bo hymny wreszcie, co głoszą wieczność i nieśmiertelność, zrywają się z jego gęśli w rozgłośnych, przeciągłych, a ponurych akordach („Błogosławieństwo”, „Oremus”, „Bóg w świątyni”).



SOLSKA W ROLI PSYCHY.

Po utworach lirycznych i liryczno-refleksyjnych przyszła kolej na dramaty. Myśl wszakże poety nie zeszła ze swej drogi. Bo i dramaty są również uplastycznieniem poetyckim poglądów i refleksji, wysnutych z filozofii panteistycznej. Walka Dobra ze Złem, Ormuzda promiennego z mrocznym Arymanem, Boga z Szatanem (por. głęboki poemacik filozoficzny „Genesis”) — to podstawa myślowa większości utworów dramatycznych Żuławskiego.

Zaczął od tragedii, z krwawych dziejów ostatniego powstania wydartej, p. t. „Dyktator” (1903), z naczelną postacią nieszczęśliwego wodza, Maryana Langiewicza. Smutny to obraz wysiłków daremnych, zmagania się okrutnych nie tylko z zewnętrznymi przeciwnościami losu, który wielkim głosem surmy bojowej obwołuje śmierć słabym i zwyciężonym, ale przede wszystkim z własną niemocą i niewiarą. A jednak... W ostatniej scenie, gdy Langiewicz, rozbity pod Grochowiskami, uchodzi z hańbą na czołe za kordon, drużyna jego rozprasza się, a kilku bohaterów pozostaje na śmierć dobrowolną, by ostatnią swą walką zasłonić odwrót innym, jakież okrzyk wyrwa się z piersi szczytnych ofiarników? *Morituri te salutant?* Nie! *Resurrecturi!* Tak więc... *amovici!*

To zwycięstwo miłości jest zasadą najpopularniejszego z dramatów autora „Na srebrnym globie”, „Erosa i Psychy”. Obiegł on od roku 1904 wszystkie sceny polskie, a wszędzie budził żywe zaniepokojenie. Jest to swojego rodzaju poetycka, w bogatą szatę artystyczną przybrana demonstracja poglądów historyzoficznych poety. Odwieczna walka sprzecznych pierwiastków bytu, Psychy-duszy i Blaksa-ciała, światłości i mroków, ukoronowana powrotem do prąródła-Erosa, chociażby przez śmierć i męczeństwo (piękny symbol Erosa-Thanatosa), dała Żuławskiemu sposobność do rozwinięcia przed oczami widzów przepysznych obrazów-syntez rozlicznych epok dziejowych.

Dwa lata następne przyniosły cztery jeszcze utwory dramatyczne: „Wianek mirtowy” (1905), stargany wyroczną ręką Przeznaczenia wątek uczuć czystych, młodzieńczych, straszliwe powikłanie przepotężnych wołań serca i sumienia, o tragicznym rozwiązaniu; „Ijole”

(t. r.), nie dramat, ale raczej poemat dramatyczny, o świetnie namalowanym kolorycie średniowiecza, scenach i postaciach nawskroś poetyckich, od dumnego i brutalnego rycerza Kuna do malarza obrazów świętych Arna, od subtelnych rysami nakreślonej bohaterki, nieszczęśliwej lunatyczki, Ijoli-Maruny, do fanatycznych mnichów; „Grę, tryptyk sceniczny” (1906), trzy wykwitne, subtelne dyalogi, o wspólnym temacie ścierania się, czasem nawet tragicznego, dwu rodzajów miłości: szczerzej, płomiennej, niedbałej o wszelkie zapory konwensu, i udanej, przelotnej, a trwożnej, nieraz kryjącej pod maską przyjaźni lub życzliwości swe rzetelne oblicze; wreszcie—„La Bestia” (1906), ponury dramat doży weneckiego z XV stulecia, Marina Falieri, oddającego głowę pod topór kęta za nieudany zamach stanu przeciw Radzie Dziesięciu i Radzie Czterdziestu, przeciw rozpanoszonemu kupcom, tyranom ludu, dramat, w którym przykuwa uwagę nowa postać niewieścia, dogressy Donny Aluki, dumnej, zmysłowej a zbrodniczej.

Nie od dziś Żuławski pisze utwory beletrystyczne. Już w r. 1902 wydał tomik „Opowiadań prozą”, cykl nowel i nastrojów, z pośród których wyróżniał się zwłaszcza subtelny profil poety-jubilata w utworze p. t. „Po uczucie”. Ale największego, a zasłużonego rozgłosu nabrała puszczona w obieg w tymże roku powieść „Na srebrnym globie”. Osnową tego znakomitego utworu, kto wie czy nie najlepszego z wszystkich dzieł poety, jest wyprawa fantastyczna kilkorga śmiałków na księżyc w sztucznie zbudowanym pocisku. Ale nie ta, *à la Verne*, fantastyczność jest ozdobą powieści, bo stworzył ją nie romansopisarz, olśniewający czytelnika nikłą tkanką porywającej swą niezwykłością fabuły, ale poeta o gorącej wyobraźni i czującym sercu.

I oto roztaczają się przed nami przeraźliwe swą pustką bezmierną, ścinające krew w żyłach krajobrazy księżycowe, którym podobnych daremnie szukać na naszej planecie, bezwodne, bezpowietrzne królestwo ciszy; i oto grążą nas w dziwny nastrój zadumy i smutku samotne rozmyślenia ostatniego z wygnańców na powierzchni satelity, którego pożera i spala tęsknota do ojczyzny-Ziemi, dokąd nigdy już powrócić nie może...

Dziś podejmuje Żuławski nanowo tenże tak ponętny przedmiot: pisze w *Kurjerze Warszawskim* dalszy ciąg „Srebrnego globu”, „Zwycięzcę”. To dzieje skarłałego rodu ludzkiego na miesiącu, potomków pierwszych eksploratorów. Pod względem głębi myśli i siły obrazowości ta ostatnia powieść nie ustępuje poprzedniej.



Winieta okładowa „Na srebrnym globie”.



I patrzyli obaj rozjaśnionemi oczyma...

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

U N I A

POWIEŚĆ LITEWSKA.

4)

Zastrzega się prawo przedruku.

Rokszyckiego zaś raczej bawiła, niż zasmucała taktyka panny Budziszówny. Doświadczony, jako mężczyzna i nie byle jaki, starszy zresztą o jakie lat ośm, odgadywał łatwo, że się podoba Aldonie, że ona naiwna—to dobrze—i trochę prowincjonalna—to gorzej. A dalej... jak każda dusza cudza, zwłaszcza panieńska, uwięziona w gorskiej konwencyonalności—nieskończoność zagadnień. Ale przypatrywał się jej przyjemnie: była zajmująca.

— Kiedy kuzyn poznał się z naszym ludem w Wiszunach—mówiła do Apolinarego—to i odrazu zmiarkuje, jaka w nim jest siła żywotna i popęd do kultury. Wszak kuzyn i w Królestwie przedstawia stronnictwo przyjaciół ludu?

— Tak, kuzynko miła. Działo się tam trochę, a już na lud specjalnie.

— Ach! *na lud* działają panowie? My tu z *ludem* pracujemy, my chcemy zespolenia z ludem.

— Jest duża różnica, kuzynko. Tam zespolenie wynika naturalnie z tego, że jesteśmy jednej rasy, mówimy tym samym językiem. A tu ostatecznie—obcoplemieńcy.

— Ach! jak można tak mówić, kuzynie?! My tu przecie wyrosliśmy z jednej gleby.

— Ale nie z miejscowej kultury—wtrącił Rokszycycki.

Aldona spojrzała na niego prawie przez ramię i rzekła zimno:

— To jest właśnie anomalia.

— Przepraszam; to jest bardzo staro-

żytny i dla Litwy zbawienny akt historyczny. To jest Unia, proszę pani.

— Ojciec mi mówił, że pan się zajmuje głównie lmem, a widzę, że i polityką.

— A no, nie można ciągle siedzieć przy wrzecionie. Pani jest chyba tego samego zdania?

Aldona zaczerwieniła się. Hieronim Budzisz wmieszał się do rozmowy:

— O! i znowu podniósł *kwestję*. Jedźmy spokojnie; „bulon” wyborny.

— Ach, bo papa... Ja myślałam, że panów... to jest kuzyna zajmuje kwestya litewska.

— Muszę się ująć za Aldoną... za panną Aldoną, za kuzynką—rozpoczął Apolinary.

Z niespodziewanem ożywieniem przerwał mu Hieronim:

— O! o czym mówić: nazywaj ty „błażnicę”*) taką po imieniu, choć i wypadasz jej synowcem. Poznajmy się lepiej, a już tam kiedyś powrócimy do *kwestyi*.

Pan Apolinary z wdziękiem ujął kieliszek:

— Pozwól, kochana Aldono, że zamienimy role na właściwsze: pozwól sobie mówić po imieniu, a nazywaj mnie wujem.

Nowy wuj mówił tak słodko, z tak stosownym gestem, z tak młodym jeszcze

*) „Błażen” i „błażnica”—przydomki, używane na Litwie, jako równoznaczne z pospolitymi w Królestwie: „smarkacz” i „smarkata”. Z dwojga nie wiem co trywialniejsze.

zapalem, że Aldona odpowiedziała zupełnie szczerze:

— Ach, z największą przyjemnością.

Odnowiono komitwę przez ogólne trącanie się szklankami. Nawet Aldona trąciła o szklankę Kazimierza, i skrzyżowały się dwa uśmiechy: jego niby poddańczy, jej niby ironiczny.

W dalszym ciągu toczyła się rozmowa głównie między Aldoną i Apolinarem, który wstał od wieczerzy zupełnie zawojowany przez świeżą synowicę.

III.

— Czy są konie z Wiszun?

Milczenie przeciągłe zaległo po tem zapytaniu, rzuconem przez pana Apolinarego z tylnych schodków małego dworca kolei żelaznej. Między drewnianym budynkiem stylu urzędowego i parkanami jednej z nim maści, na zabrukowanym dziedzińcu stało kilka furmanek, a raczej małych skrzynek, rozwartych ku górze, wypchanych sianem, zaprzężonych każda w jednego niepozornego konika, pod półobręczą „duhy”. Nie mogły to być furmanki z Wiszun, wysłane dla przewiezienia oczekiwanych gości.

— Spóźnił się zapewne furman boćwina—niecierpliwił się Apolinary.

Kazimierz Rokszycycki tymczasem gwizdał, strzelając wesoło oczyma po widniejących opodal pagórkach, pokreślonych różnobarwną szachownicą zbóż, ubranych w górne i wędolne gąiki.

— Zamiast gwizdać, Kaziu, lepiejbyś

zakręcił się po tej zakazanej stacyi i dowiedział się, gdzie u kaduka są, czy będą konie dla nas?

— A prawda... Przecie depeszę sam wysłałem wczoraj rano, tłómacząc najdokładniej, że przyśpieszamy nasz przyjazd. Trzeba się dowiedzieć, kiedy odesłano depeszę.

Poszedł do kancelaryi zawiadowcy i po pięciu minutach powrócił do pana Apolinarego, zanosząc się od śmiechu.

— Wie wuj... to przecie wysoka humorystyka!... oddano mi moją depeszę z grzeczną propozycją, abym ją odwiózł sam, jeżeli jadę do Wiszun! Ja im tłómaczę, że to właśnie mój telegram z prośbą o konie na dzisiaj, a jakiś Olimpijczyk, pijący herbatę w rozpiętym mundurze, objaśnia mi w języku państwowym, że trudna rada: nie było sposobności.

— Do kroćset dyabłów! — zaklął pan Apolinary—gdzie ten urzędnik?

— Co nam po urzędniku, wuju? Koni trzeba szukać do najęcia.

Posługacz kolejowy, rosty, ale miękki chłop, gawronił przed siebie z podniesioną głową, jakby oczekiwał cudownego zjawienia się skądś powozu. Po dłuższej obserwacji horyzontu doszedł nareszcie do przekonania:

— Musi, kolaski nie będzie...

— A to... to poszukajże gdzie, osle jeden... bracie, jakiej bryczki nie pogańskiej do najęcia!—zaperzył się Budzisz na dobre.

Posługacz aż ugiął się przed tą energią wymowy, ułożył jeden na drugim dwa kufki, które trzymał dotychczas w ręku, aż oba z hukiem stoczyły się po schodkach, naprawił swą niezgrabność, zdjął czapkę, aby lepiej podrapać się w głowę, i, westchnawszy, rzekł:

— A to ja zbiegam do „urjadnika”, ci on nie da swojej kałamaszki? Szyrooka, panie, arszyna półtora.

— A zbiegaj, dobrodzieju, zabiegaj, podbiegaj, byleś znalazł. Rubla ci dam, jeżeli wyszukasz możliwą furmankę.

Posługacz rzeczywiście pobiegł, uginając bardzo kolana, w kierunku kilku domów, stojących dwieście kroków od stacyi.

Budzisz i Rokszycki pozostali na miejscu w oczekiwaniu i teraz dopiero spostrzegli, że przygląda im się uważnie kilku włościan miejscowych. Ciemne ich kurty z samodziela, buty do kolan, płaskie czapki, używane na całej przestrzeni ziem polskich—nie naznaczały tego gminu jakąś miejscową odrębnością etnograficzną. Ale twarzy ich niepodobna było nazwać gminnymi: tchnęły głęboką uczuciowością; śpiewało coś w tych duszach tajemniczego, a pogodny spokój, bijący z oczu, przejmował uszanowaniem.

Budzisz zapatrzył się na te twarze i zaraził się od nich spokojem. Nie wybuchnął nawet, gdy posługacz kolejowy powrócił bezradny i oznajmił, że „urjadnik” pojechał w swej szerokiej kałamaszce na kiermasz.

— Trzeba brać, co jest—rzekł Rokszycki.

I zakrzętał się około zdobycia jakiegokolwiek wózka. Okazało się, że te, które stały na dziedzińcu, były do najęcia, a woźnice ich i właściciele od pół godziny już przypatrywali się poszukującym furmanki, nie proponując im swych usług.

Budzisz i Rokszycki obejrzeni wózki. Na jednym zmieścić się we dwóch razem z kufkami było niepodobieństwem; postanowiono zrazu jechać osobno. Ale trzy mile drogi (jedni mówili: dwie, inni cztery) bez słodkiej gawędy wydały się obu towarzyszom nieznośnemi, więc, gdy Budzisz usadowił się już na głównym siedzeniu jednego z wózków, Rokszycki spróbował usiąść obok woźnicy, odwrócony od konia, i zapewniał, że siedzi bardzo wygodnie. Na drugim wózku umieszczono cały bagaż — i tak ruszono w podróż.

Srodze zadudniała kałamaszka po bruku, aż ciepłe mrowie poszło po krzyżu pana Apolinarego, ale, skoro wyjechała na drogę polną, przyrodzoną, potoczyła się gładko i nadspodziewanie szybko. Niepozorny w spokoju, krępy kuc zmudzki okazywał się zycznym koniem pociągowym: drobił tęgim kłusem po równej drodze, wspinał się energicznym stępem na pagórki, a schodząc z nich, trzymał dzielnie na zadzie kałamaszkę, obciążoną trzema ludźmi, dławiąc się pod wysoką duhą, która zsuwała mu się aż pod uszy i wieńczyła aureolą męczeńską głowę jego drobną, obowiązkową, z przymkniętymi boleśnie oczami. I znowu biegł, jak najęty, jakgdyby nigdy nic...

— Tęgi fornal, dobrodzieju mój! Widać Pan Bóg stworzył tutaj konia żwawego, żeby dopełnić człowieka, który ledwie się rusza—mścił się jeszcze pan Apolinary na Litwinach za doznane niepowodzenia na stacyi.

Kazimierz zaś nie żywił najmniejszej urazy do ludzi, ani do pięknego kraju, który poznawał. Aby ulżyć zycznemu koniowi, zeskakiwał, gdy droga szła stromo pod górę, albo przepastnie z niej się staczała. Postępował pieszo, to znowu w biegu wskakiwał na wózek zwinnym obrotem swych młodych nóg rozhułanych. Czasem urwał kłos przydrożnego zboża i okazywał go panu Apolinaremu; dziwili się dobrej ziemi i tłustym plonom. Czasem gałąź drzewa przyciągnął do siebie i oglądał liście z zacięciem botanika.

— Oto, co tak pachnie, wuju, czem ciągle oddychamy: czarna olcha.

— A to dobre drzewo, myślisz?

— Nie wiem. Ale bujne, niech wuj patrzy, i pachnące.

— Powietrze tu wyborne—rzekł Apolinary—choć trochę zimniej, niż u nas o tej porze i przy tak pogodnym dniu.

— Bo i Bałtyk niedaleko.

— Prawda, że Bałtyk... Ale i tutaj po kraju mnóstwo wody. Tam... patrz, co za jezioro!

Kazimierz siedział odwrócony od konia, więc, aby dojrzeć to, co Budzisz wskazywał przed koniem, okręcił się żywo na swem miejscu, nogę jedną opierając na hołobli. A Budzisz powstał i oparł się o ramiona woźnicy. I patrzyli obaj rozjaśnionymi oczyma.

Ze wzniesienia, na którym się znajdowali, widać było rozległą, stalowo-błękitną tafłę jeziora, ujętą we wzorzystą ramę brzegów zielonych niżej, a płowych, rudych, złotawych na pagórkach. Przejmująca rzewność i słodki zapach biły od wielkiej wody.

Pierwszy Apolinary wrócił z błękitów do chwili bieżącej, zauważywszy, w jak niewygodnej pozycyi siedzi Kazimierz.

— Ależ ty, biedaku, siedzisz, z przeproszeniem, jak pies na płocie!

— Nigdy wspanialej nie podróżowałem, wuju. Co mi tam wygodnym powozem jechać po naszej mazowieckiej równinie przez szare, nagie pola, gdzie całą ozdobą waląca się chata, chudy białodrzew i komin fabryczny! Tutaj to kraj, co kwitnie, gada, zaprasza, kocha...

— A toś mi się rozmarzył, chłopcze! Już cię tu kochają? co?

— Mówię o kraju. Pierwszy raz tu jestem, a czuję się u siebie. Pół tych nie znam, ale uprawne są po naszemu; chłopca nie rozumiem, ale to nasz brat. A niech wuj spojrzy na ten dwór przy jeziorze, czy nie naszego typu? A tamten kościół daleko, na górze? Cóż to innego być może, jeżeli nie polski wiek ośmnasty?

— Znaczny kościół, dobrodzieju mój. Ciekawym, jak się miejscowość nazywa.

Rokszycki sięgnął do kieszeni, dobył z niej coś, pochylił się nad tym przedmiotem, ukrywając go od Budzisz, i po chwili odezwał się do woźnicy po litewsku:

— Ar tamsta ne žyna, kur szita bażnicza?

— Ne žynu, panajtis *).

— A ty skąd umiesz po litewsku? — spytał Budzisz Rokszyckiego.

— Ze słownika — odrzekł śmiejąc się Kazimierz, odwrócił się i podał książeczkę panu Apolinaremu.

— Proszę, proszę... toś się wybrał, widzę, na podbój Litwy.

— Nie na podbój, ale muszę się porozumiewać z ludem.

— Masz rację; i mnieby się to przydało.

Tymczasem woźnica przemówił niespodziewanie po polsku:

— Panicz pytasz o ten kościół na górze?

— Właśnie.

— Kościół widny w Wiszunach.

— To do Wiszun już niedaleko?

— Daleko, pan. Prosto jechać nie można: jedna jeziora, druga jeziora... Zimą to wiorst dziesięć, a latem dwadzieścia.

Podróźni ucieszyli się, że mogą rozmówić się z woźnicą choć łamaną polszczyzną, i zadziwili się zarazem, że chłop ani pary dotąd z ust nie puścił, choć już ujechano kilka wiorst.

— Dyplomata, widać—szepnął pan Apolinary — nawet się nie zdradził, że rozumie po polsku. Nasz Mazur jużby nas był zapoznał z całym życiem swoim i rodziny.

(DCN)

*) — Czy nie wiecie, gdzie ten kościół?
— Nie wiem, panicz.



A. T. QUILLER COUCH.

KAPRAL SAM.

Kapral Sam Vicary stanął błądy przy ognisku obozowym. Błądności tej nie wywołało, jakkolwiek mogło wywołać, opowiadanie, któremu przysłuchiwali się szeregowcy, zebrani dokoła ognia, na widok bowiem kaprała opowiadającego zamilkł nagle, wiedząc, iż Sam to chłopiec dobry, lecz skromny, umiejący w razie potrzeby poprzeć przekonania swe pięścią. To też, gdy towarzysze spoglądali na niego zdziwieni, opowiadający zmienił zęcnie temat rozmowy.

— Jeżeli — rzekł — mowa już o klasztorze — snadź miał na myśli klasztor św. Teresy, budynek wysoki, tuż pod murami cytadeli San Sebastyanu, broniony przez jej działa i od trzech dni walczący zaciekle — to może który z was zauważył domek niewielki na lewo od klasztoru, podobny do gniazda jaskółczego, uwieszzonego u skał cytadeli? Nie? Szkoda, bo generał obiecał pięć funtów temu, kto tam dotrze.

— Ja znam ten domek — przerwał żołnierz, siedzący po prawej stronie mówcy — budowla nędzna, o jednym oknie na piętrze, z którego rozpościera się widok wzdłuż całej ulicy. Nie przypuszczam, aby znajdujące się tam rupiecie warte



— I zostawiliście dziecko! — krzyknął kapral Sam, oburzony.

były ogółem pięć funtów, dla dotarcia zaś do niego trzeba przejść, i to bez żadnej osłony, pod ogniem potowy obrońców klasztoru. Nie głupim za pięć funtów leżeć śmierci w łapy na pewniaku!

— Generałowi nie chodzi o rupiecie — objaśniał pierwszy żołnierz — lecz o dziecko.

— O jakim dziecku mówicie? — spytał sierżant Wilkes, powracający z obchodu wart, rzucając się na jedno z siedzeń w pobliżu ogniska. Oczy jego spotkały się w tej chwili ze wzrokiem kaprała Sama, kiwnął więc mu głową przyjaźnie.

— Jak się zdaje — ciągnął dalej żołnierz — wszyscy w tym domu zginęli, oprócz tego dzieciaka. Zbliżyć się do domu to narazić się na śmierć pewną, a dzieciak: chłopiec czteroletni, jest, jak mówią, bez jedzenia od dwóch dni, a może i więcej! Widziałem go. Od czasu do czasu podchodzi do okna i wygląda.

— Biedactwo — szepnął sierżant Wilkes i spojrzął w stronę, gdzie przed chwilą stał kapral Sam. Ale kapral zniknął.

* * *

Jakkolwiek noc była ciemna, kapral Sam nie potrzebował latarni, górna bowiem część San Sebastyanu gorzała płomieniem wielkim, a od czasu do czasu bomba, wyrzucona z baterii moździerzowych, ustawionych po drugiej stronie rzeki, pękała



...Ujrzał rozciągnięte u kominka zwłoki młodej kobiety.

nad cytadelą lub nad skałami, gdzie Francuzi trzymali się uporczywie, każdy zaś wybuch zalewał niebiosą jasnością nagłą.

Kapral szedł ku pagórkowi miasta górnego, nad którym panowały strzelnice cytadeli i klasztoru. Znał dokładnie położenie domku opuszczonego, wybrał więc uliczkę wąską, pustą obecnie i zniszczoną przez pożar, a wiodącą wprost ku niemu. Przed frontem domku widniał mur ogrodu, równoległe zaś do muru ciągnęła się droga, zamiatana niemal bez przerwy ogniem karabinowym obrońców klasztoru.

W końcu ulicy natknął się na szeregowca pułku strzelców, ukrytego przed kulami za rogiem domu i przypatrującego się spokojnie pożarowi.

— Tam jest dziecko — rzekł, wskazując na domek i dysząc ciężko, zmęczony bowiem szybkim marszem pod górę.

Strzelec skinął głową potakująco.

— Więc po cóż czekać? — zawołał kapral Sam — biegnijmy tam na wyścigi!

— Hi, hi, Bill! — zaśmiał się strzelec do towarzysza, który właśnie ukazał się skurczony w drzwiach domu sąsiedniego, trzymając w jednej ręce zegar zrabowany, a w drugiej latarkę — hi, hi, Bill, mądrała jakiś, chce nam pokazać drogę do tego tam domu.

— Powiedz mu, niech pójdzie się wyspać! Powiedz mu także, żeśmy tam już byli.

— I zostawiliście dziecko! — krzyknął kapral Sam, oburzony.

— Hm, opuściliśmy je z pośpiechu. Ale, widzisz, oto wygląda z okna! Chcesz, zakończę zaraz męki jego?

To mówiąc, pierwszy ze strzelców podniósł karabin do ramienia. Kapral jednak porwał go za ramię, i obaj potoczyli się w tem starciu z za węgła domu na drogę widoczną z klasztoru. W tejże chwili Sam uczuł, że strzelec usuwa mu się z rąk, pada na bruk i, ujrzał krew, buchającą z ust jego. Od stronu klasztoru błysnęły ognie i rozległ się huk wystrzałów. Ale kapral Sam nie zastanawiał się już dłużej i pomknął wprost ku domkowi opuszczonemu.

Łuna pożaru oświetlała jasno pokój na piętrze. Stanąwszy na progu, ujrzał rozciągnięte u kominka zwłoki młodej kobiety, w kącie zaś pokoju dziecko, spoglądające na niego lęklawie.

— Kto to zrobił? — spytał malca, wskazując na zwłoki.

Przez chwilę dziecko, nie rozumiejące języka angielskiego, spoglądało na przybysza wzrokiem pytającym, poczem, nagle, jakby zrozumiał pytanie, wskazało paluszkami pod stół i na zwłoki.

Kapral podszedł do stołu, nachylił się i dobył z pod niego karabin, oraz ładownicę.

— Powiedz mu także, żeśmy tam byli!

Zdawało mu się, że słyszy głos Billa, powtarzający słowa powyższe. Bo na ładownicy ujrzał oznakę pułku strzelców.

Zadrzał od stóp do głowy. Jakże znienawidził w tej chwili tych strzelców! Jakże znienawidził wszystko, co uczyniło z tego pokoju to, na co patrzył!

Dziecko trwało w kącie nieruchomo, a kapral Sam postawił wolno karabin kolbą na ziemi, wtoczył stemplem nabój w lufę, odwiódł kurek i, padłszy na kolana, poczołgał się ku oknu.

* * *

Wczesnym rankiem dnia następnego sierżant Wilkes przekroczył zwałiska wielkiego wyłomu.

I on też kierował się w stronę domku, gdyż przyjaciel jego, kapral Sam, zniknął był wieczora poprzedniego i do tej pory jeszcze nie wrócił. Sierżant przeczuwał, że znajdzie go w tych stronach. Nagle stanął. Rozciągnięty w poprzek uliczki leżał trup żołnierza. Wilkes nachylił się i dotknął ciała. Było jeszcze ciepłe. Mundur wskazywał strzelca 95-go pułku ochotników, pułku, tak bardzo nie lubianego z powodu niesforności przez generała Leitha i całą 5-tą dywizję.

— Uciekaj, głupcze!

Sierżant odwrócił się szybko i ujrzał innego strzelca w drzwiach domu pobliskiego.

Głowa zaledwie strzelca wychyliła się poza linię domów, a już buchnął strzał, i żołnierz potoczył się na środek uliczki, gdzie runął ciężko, jak kamień.

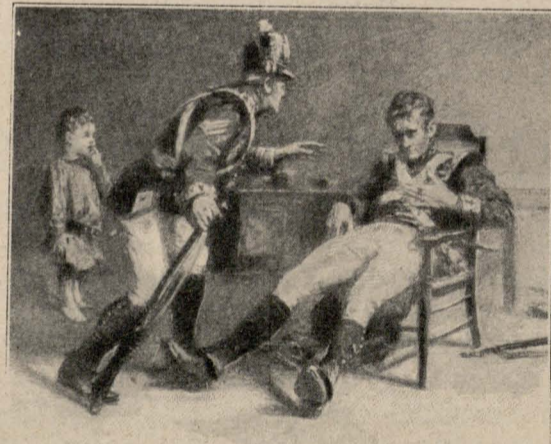
Sierżant Wilkes zaciął zęby, zawrócił i wpadł na schody domu, z którego wyglądał przed chwilą strzelec. Schody doprowadziły go na dach płaski. Na brzuchu przyczołgał się do balustrady, skąd rozpościerał się widok na drogę poprzeczną i domek pod skałą. Przez otwarte jego okno ua piętrze widniało ciemne wnętrze pokoju. Tylko na ścianie przeciwległej oknu zawieszona zwierciadło tworzyło plamę jasną wśród ciemności.

— Usunę go stamtąd — szepnął przez zęby zaciśnięte — choćbym miał spędzić tutaj dzień cały.

Nagle cień jakiś zakrył sobą zwierciadło. Widocznie tajemniczy nieznajomy dojrzał znów na ulicy strzelca z pułku ochotników.

Dwa strzały huknęły jednocześnie. Sierżant Wilkes opuścił karabin i spojrzął w okno. Zwierciadło połyskiwało plamą jasną na ścianie. Wówczas powstał i wyprostowany ruszył dachem ku schodom.

Ulica była pusta. Ktoś zawołał na niego, aby wrócił, sierżant jednak nie zważał na ostrze-



Głowa jego opadła cicho na piersi.

żenie i poszedł ulicą, a następnie w poprzek drogi ku zielonej furtce ogrodowej, przekroczywszy zaś ogród, wszedł po schodach i zajrzał przez drzwi otwarte do pokoju na piętrze.

Z przeciwnej strony pokoju siedział na fotelu drewnianym kapral Sam, mocno przechylony w tył, trzymając rękę na piersi, obok zaś z wyrazem zdziwienia w oczach stało dziecko — chłopczyk mały, poważny, kędzierzawy.

* * *

— Szczęśliwy jestem — rzekł głosem słabym kapral do wchodzącego — żeś zrobił to tak szybko.

Sierżant ośupiął nie odpowiadając. Z pomiędzy palców kaprała, rozstawionych szeroko i przyciśniętych do piersi, sączył się strumień

szkarłatny, szkarłatniejszy od munduru grenadyerów królewskich, zabarwiający go na ciemno.

— Bo—ciągnął dalej raniony, uśmiechając się boleśnie—czy tak, czy owak musiałbyś to zrobić. Nieprawdaż? Dokonanie zaś tego w inny sposób... mogłoby być... przykre.

— Ale, na miły Bóg, co doprowadziło cię do tego!—zawołał Wilkes.

— Nie wiem—odparł Sam głosem człowieka, z trudem skupiającego myśli—musiało to... zbierać we mnie już od pewnego czasu...

— Ale co, chłopcze, co!

— Ach, co?... powiadasz. W tem rzecz, że nie będę mógł wytłómaczyć ci tego... że nie pojmiesz całego piekła, jakie się w tem zawarło... Zaczęło się od myślenia... ot, poprostu od myślenia... od rzeczy widzianych i słyszanych. A gdy następnie przyszedłem tu jedynie dla ocalenia tego...

Urwał i skinął głową dziecku, a dziecko, pochwywszy spojrzenie żołnierza, uśmiechnęło się do niego.

— Tam—dodał po chwili, wskazując wzrokiem ku kominkowi—leżały zwłoki kobiety... Dziecko zaś powiedziało mi... resztę odgadłem... Pochowałem kobietę w ogrodzie... i uczułem, że wszystko, na co patrzę... że cała ta sprawa... jest podła, że muszę zabijać... bez końca zabijać... podłych.

— Chłopcze—przerwał sierżant, spoglądając z boleścią na dyszącego ciężko—ze wszystkiego, co mówisz, rozumiem tylko jedno: zrobisz głupstwo straszne.

Kapral Sam nie odpowiedział. Głowa jego opadła cicho na piersi.

Sierżant Wilkes dotknął ramienia przyjaciela i, przekonawszy się, że skonał, potoczył się, jak pijany, ku wyjściu, zapominając o dziecku.

W ogrodzie, zalanym promieniami słońca, spojrzał bezmyślnie na krzak róży pnącej, okrywa-

jący mur i pełen kwiecia. Dokoła kwiatów mijały się, brzęcząc, pszczoły. Zajęty brzękiem tym, nie zauważył nawet, że huk strzałów zamarł nagle, klasztor bowiem poddał się, a obrońcy jego cofnęli się do cytadeli.

Sierżant doszedł do wyłomu i spuścił się po gruzach ku wybrzeżom Urumei.

Tam usiadł dla ściągnięcia trzewików, gdyż pragnął przejść rzekę w bród, gdy nagle uwagę jego zwrócił lekki szelest z tyłu.

Odwrócił głowę. Dziecko szło za nim, teraz zaś, ujrzawszy spojrzenie na siebie zwrócone, stanęło wśród zwalisk wyłomu niepewne i zakłopotane.

Sierżant skinął na nie ręką. Podeszło, zsuwając się po gruzach. Wówczas ujął je za rączki, zarzucił sobie na plecy i, czując ciepło rączek tych dziecięcych na szyi, ruszył brodem ku obozowi.

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.

N A D E S Ł A N E.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36, przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

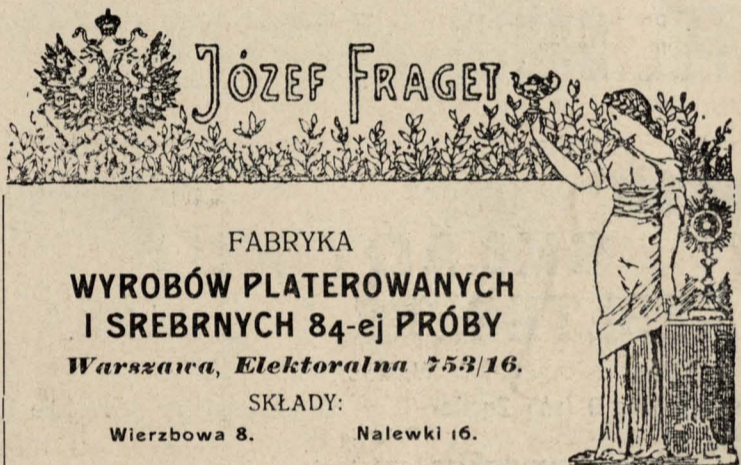
Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego
po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza
po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.



JÓZEF FRAGET

FABRYKA
**WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY**
Warszawa, Elekoralna 753/16.

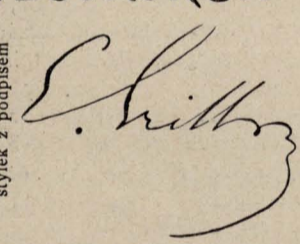
SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

PASTILLES DE **TAMAR INDIEN GRILLON** Owoc przeczyszczający PRZECIW **OBSTRUKCYI**


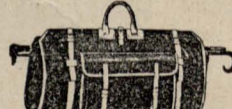
PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



E. UNIERZYSKI CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja
Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2a, Leszno Nr 4, Długa Nr 19, Chłodna Nr 18, Dzika Nr 7, Praga Brukowa Nr 32.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

MEBLE
ZALEŃSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

KOTYLIONOWE
przybory (największy wybór w każdej cenie, katalog franco). Zabawki—Gry salonowe—Witraże do okien—Filtry do wody—Nowości Paryskie.
MAGAZYN FRĄNOUSKI (BERGA 8).

C. Skoryna Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbiny, Transmisje i t. p.
Warszawa-Praga
OLSZOWA 14, Tei. 49.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism krajowych i zagranicznych po cenach redakcyjnych.

J. MIECZKOWSKI, Fotografija
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

MILUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaże elektryczne** usuwają rapturę, nie krępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w **dobrym gatunku**. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w **zakładzie Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.**

LUDWIK SZUFA KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671



LECZNICA DLA DZIECI
D-ra Juliana Gawrońskiego
Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11 rano. **Porada 50 kop.**

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Polecą:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Bracia Osinscy Główny skład Kryształów czeskich fabryki Hr. Harracha „Nowy-Svet” (Czechy)

Warszawa, Nlecała Nr 2 (róg wierzbowej)

z kryształów, porcelany, terrakoty i majoliki, niebywały wybór serwisów stołowych, porcelanowych, krajow., czeskich i francuskich „Llmoges”.

Ceny fabryczne.
polecają wielki wybór
OSTATNICH NOWOŚCI

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych za **K**ONSERWATOR wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop.
AGATOL proszek i eliksir do **ZĘBÓW** z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

Najlepsza Pasta do Obuwia H. Trembińskiego „INTRYGANT” żądać wszędzie

HOTEL SAVOY W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa nutowe w tomach „UNIwersal-EDITION”

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition” zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litolffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Nowe maszyny DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI „APOLLO” nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzwonne w każdym gospodarstwie.
PASY SKÓRZANE oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca
ALFRED GRODZKI Warszawa, 33, Senatorska.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF Warszawa, Krak.-Przed. 12



Żądać wszędzie z aniołem.

NARZĘDZIA LEKARSKIE, ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE, WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

ODPOWIEDZI.

P. Janinie Zar. Nie omyliła się Sz. P.: wiersze w koszu. Czy „pracować dalej warto”? Oczywiście, czytać najcenniejsze utwory poetów swoich i obcych zawsze warto. Jeżeli nie będzie Sz. P. poetką, to przynajmniej nauczy się poprawnie pisać po polsku (mówi się *rozestany*, nie zaś: *rozestłany*) i nie będzie „popętniała” takich zwrotów: „szarych wróbel różańcem opasana strzecha przytuła georginii czerwone gromady”—czyżby georginie rosły na dachu?

Stały prenumeratorka ze Lwowa. Nie wiemy, o jaki konkurs Sz. P. zapytuje: jeżeli o dramatyczny Teatrów Rządowych Warszawskich, to nie został on jeszcze ogłoszony, lecz tylko zapowiedziany.

Ojcu w Piotrkowie. Zdaje się nam, że Sz. P. zbyt może czarno patrzy na rzeczy. Nadesłana nam próbka świadczy, że syn Pański, jak większość młodzieży w tych latach, przeżywa obecnie epokę przełomu i zamętu, która poprzedza tworzenie się właściwych pojęć i wyobrażeń. Nie wątpimy, że, gdy uspokoi się i zrównoważy rozkołysana wyobraźnia, wyrośnie z niego dzielny człowiek i obywatel. Zgadzaemy się z Sz. P., że młodzież nasza czytuje nieraz rzeczy niepotrzebne, a nawet szkodliwe, to też rodzice baczni powinni zwracać uwagę na lekturę swych dzieci.

P. eri. „Tryolety jesienne” dość zrzęczne. Dla braku miejsca jednak i znacznego zaopatrzenia teki redakcyjnej nie zamieścimy.

P. Stefani Bijejko w Radomiu. Dziękujemy za wiadomości i materiały ilustracyjny. Przy sposobności skorzystamy.

P. W. K. Wiersze Pańskie są echem poezji nastrojowej doby ostatniej, nie zaś owocem samoistnej twórczości, zdradzają przytem nieumiejętne posilkowanie się barwami z palety.

P. Henryk. Janczewskiemu w Tyflisie. Dziękujemy za pamięć, ale artykułku nie zamieścimy, w dziale bieżącym bowiem dajemy przeważnie tylko rzeczy z życia polskiego w kraju i na obczyźnie.

Pr. mumeratorka z prowincji. 1) Encyklopedia Orgelbranda w każdej księgarzni, i Wielka Encyklopedia Ilustrowana (nie ukończona, adres redakcji: Nowy Świat 41), 2) Szkoła przemysłu artystycznego przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa (Nowy-Świat 66); takąż szkoła A. Korycińskiej (Ś-to Krzyska 4); zakład artystyczno-rękodzielniczy L. Strońskiej (Jerozolimska 68); szkoła artystyczno-rzemieślnicza C. Gutowskiej (Złota 4); zakład św. Łukasza M. Łubińskiej (plac Aleksandra, 11).

P. Kaz. Kcp. w Sieradzu. Wierszy Pańskich nie wydrukujemy, chociaż nie są one bez zalet.

P. Józefowi Brzechwie. Forma utworów Pańskich nie wyrobiona, są i usterki stylowe i wersyfikacyjne, chociaż naogół wiersze dość poprawne. Nie zamieścimy.

P. Ryszardowi Łęcz. Wiersza Pańskiego nie możemy zamieścić, tak dla treści zbyt osobistej, jak i dla słabej formy.

P. Józefowi Relidz. Z wierszy „Psalm skargi”, „Staw”, „Czemu tak smutno?” nie skorzystamy.

P. Jadwidze Grudz. Nie wydrukujemy; forma wierszy Sz. P. zdradza nieobycie z zasadami stylu i prozody.

P. Mieczysławowi Głogow... Z rękopisów Pańskich nie skorzystamy.

P. Em. Gordz. w Stanisławowie. Nie dla nas.

P. Czesławowi Lubiczowi. Nie zamieścimy.

Łosiowi z Uraczy. Najdokładniejszych informacji udzieli Sz. P. kancelaryja Okręgu Naukowego Warszawskiego (w gmachu uniwersytetu, przyjęcia w poniedziałki i czwartki od 12^{1/2} do 2^{1/2} p. p.), oraz kancelaryja Inspekcji Szkół w Warszawie (Mokotowska 65, przyjęcia we wtorki od 1—3 p. p.).

P. Janowi Lig. w Wilnie. „Gwiazda” w koszu; to nie poezja, to nawet nie rymy.

P. M. Gernreichowi. Lepiejby Sz. P. zajął się czemś pożyteczniejszem, niż kleczenie kiepskich wierszy

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.